

POLSKA BIEDA

Kończymy nasz cykl. Wśród portretów ludzi bogatych i biednych nie może zabraknąć tych żyjących tylko z pensji. Bez rodziny na wsi, bez szans wyjazdu „za wodę”. Jak sobie radzą? Czy można wyżyć z rodziną jedynie z poborów? Na jakim poziomie? Są uczciwi, czego się dorobili? Jakich wartości wewnętrznych i zewnętrznych? Co myślą o swoim życiu bez cwaniactwa?

STR. 6

KONTAKTY

LOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY

PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

31

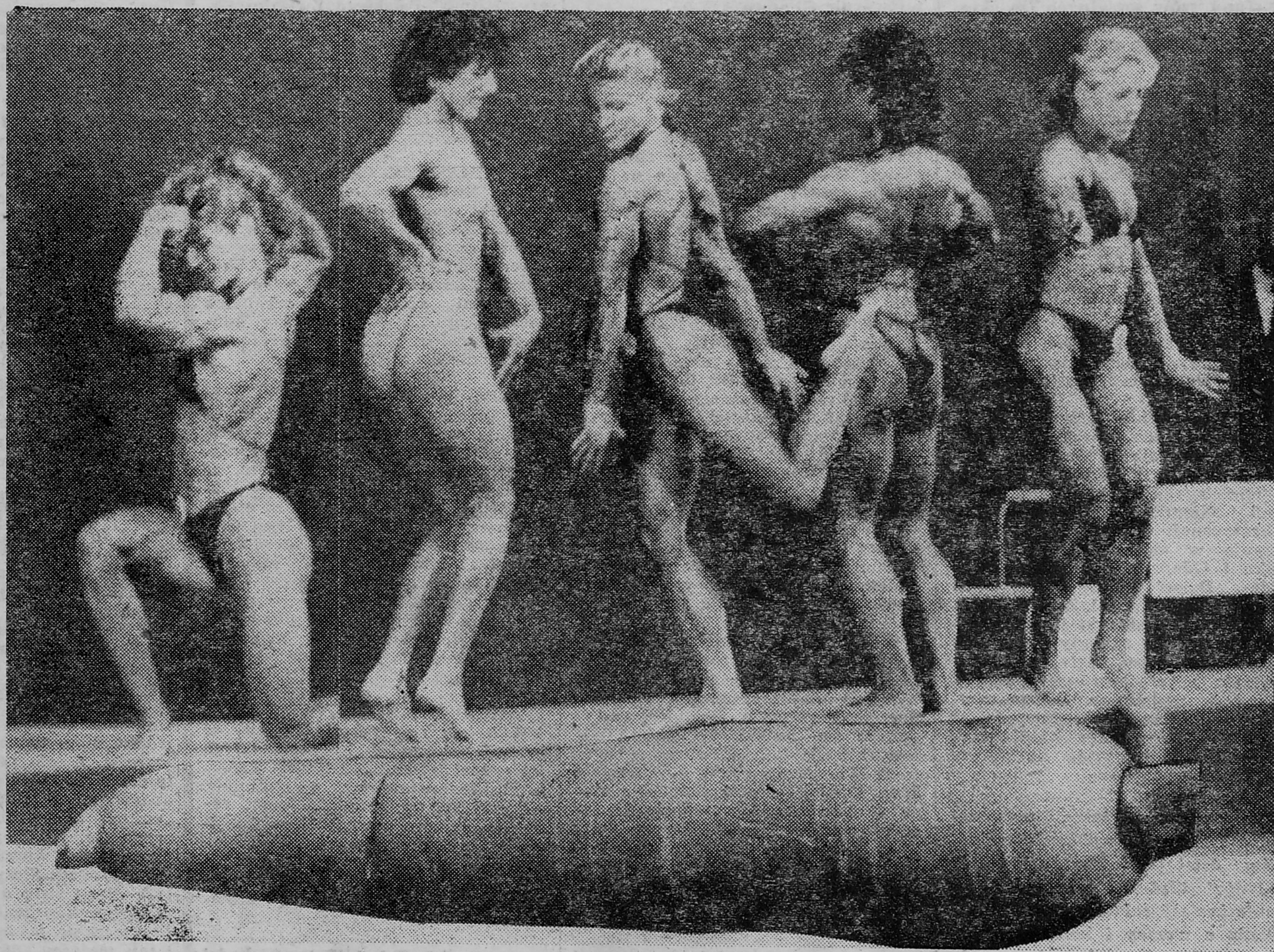
(407)

KONTAKTY

1988-08-07

cena

35 zł



WYZNAWCY
ZDROWEJ
MARCHEWKI

STR. 7

WARTOŚCI MOJEGO ŻYCIA

z tej ziemi

DZIEDZICZKA LUTOSŁAWSKA spowita w koronki i szale szła jak zwykle z podniesioną głową, stąpając dostojnym krokiem po głównej drozdowskiej drodze. Gdy tylko pojawiła się na niej, chłopskie dzieci rzuciły się natychmiast w jej stronę, aby ucałować ręce pani dziedziczki, obleczone w białe rękawiczki. Wielce więc zdumiała się ich właścicielka, gdy wysunawszy ręce do całowania spostrzegła dziewczynkę patrzącą ze wstrętem na zachowanie nieletnich ziomków.

— A czyja ty jesteś? — zapytała wskazując ją palcem.

— Bronowicza Jana — odparła kilkuletnia Maria. — I całować pani dziedziczki nie będę!

Jak się to wszystko skończyło, pani Maria dokładnie nie pamięta, w każdym razie bez łań. Ojciec

CIAĞ DALSZY NA STR. 4



TO SIĘ W GŁOWIE NIE MIEŚCI

POWROTY Z ŁĄK ZAPOMNIENIA

BRUNO JASIEŃSKI:

„To jakaś
straszna pomyłka,
to nie może
być prawda.
Nie
jestem
zdrajcą“

Jak wróżka w swoją kulę, tak ja wpatruję się w sporą brylkę górskiego kryształu, która od lat leży na moim biurku. Jest moim starym druhem.

Polyskliwy kryształ. Prezent od tadżyckiego poety Mirsaidy Mirszakara, otrzymany po długich godzinach rozmowy na jeden właściwie temat: osoby Polaka, który przez Paryż i Moskwę najniespodziewaniej dotarł do dalekiego Duszanbe.

Tym Polakiem był Bruno Jasieński.

Kamień, który leży na moim biurku, podarunek Mirsaidy, pochodzi z góry w pamińskim paśmie, noszącej imię polskiego poety. Przywołuje przeszłość, która jest już tylko historią.

STR. 8-9

w następnym numerze:

- CIEŃ NAD EKSMISJĄ: Niestety, rezonans społeczny jej niewykonania był — jeśli wierzyć opinii wiceprezydenta — fatalny.
- SZESZCZESIAĆ PROCENT ODPOWIEDZIALNOŚCI: Dziś, po pięciu latach, większość osadników klnie w żywy kamień tego (tych?), co dał im ziemię bez gwarancji dalszych świadczeń.
- WEJŚĆ W SKÓRĘ POLAKA: Dorabiali całe życie nad siły.

ŻNIWA W ŁOMŻYŃSKIM minęły półmetek. Rolnicy pracują spokojniej niż w latach poprzednich, gdyż pogoda — jak dotąd — im sprzyja, a zaplecze techniczne lepiej jest zaopatrzone w części zamiennne do sprzętu. W tym tygodniu na polach masowo pojawiły się kombajny, a więc należy spodziewać się góraczki w magazynach PZZ-ów. Zbiory zapowiadają się gorsze od ubiegłorocznych (żyto szacuje się na 22—23 kwintale z hektara).

SEZON URLOPOWY W PEŁNI. Pracownicy LZPB „Narew” wypoczywają w ośrodkach wczasowych w Łebie, Międzyzdrojach, Rowach i Szczyrk; stale zatrudniony jest zakładowy ośrodek w Balikach. Ok. 800 osób skorzystało z tzw. wczasów turystycznych; przedsiębiorstwo utrzymuje również pole namiotowe w Niedźwiedzin Rogu na Mazurach. Dla dzieci zorganizowało kolonie w kraju i za granicą (w Poniewieżu na Litwie). „Narew” refunduje znaczną część kosztów wypoczynku z tzw. funduszy socjalnych (za skierowanie na wczasy pracownik płaci mniej niż połowę, za kolonie — ok. 10 proc. ceny).

Kierunki wakacyjnych wędrówek załogi Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego to Sarbinowo i Śliwno Bałtyckie oraz Polanica Zdrój. Dzieci zostały wysłane na kolonie do Śliwna Bałtyckiego, Michałowic i Sejn. Dopłaty z funduszu socjalnego stanowią ok. 80 proc. ceny skierowania na wczasy; do kolonii zakład dopłaca jeszcze więcej. W tej chwili brakuje w pracy ok. 200 osób, ale — jak nam powiedziano — absencja taka utrzymuje się w zasadzie przez cały rok; latem przyczyną są urlopy, w pozostałych miesiącach — zwolnienia lekarskie.

W zambrowskiej „Bawelnie” — tak jak w latach ubiegłych — największą atrakcją urlopu jest wyjazd na wczasy do ośrodków zaprzyjaźnionych zakładów z Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Demokratycznej; w zamian ZZPB podejmuje w swoich ośrodkach w Broku i Gdańsku gości z tych zakładów. Dzieci wyjechały na kolonie do Czechosłowacji, ZSRR, Gdańska i Suchoj Beskidzkiej oraz na obozy. Mimo że zakłady refundują większość kosztów, chętnych do korzystania z tej formy wypoczynku nie ma w nadmiarze. Załogę zambrowskiej „Bawelny” stanowią w większości mieszkańcy okolicznych wsi, którzy latem mają na głowie żniwa i inne prace.

Już wczesną wiosną rozpoczął przygotowania do wakacyjnych urlopów dział socjalny grajewskich Zakładów Płyt Wiórowych. Pozytywnie zostały załatwione wszystkie podania o wczasy i kolonie, nawet z uwzględnieniem życzeń co do miejsca i warunków wypoczynku. Jednak od 1989 r. w przedsiębiorstwie obowiązywać będzie zasada dofinansowania urlopu tylko co drugi rok. Warunki dofinansowywania są bardzo korzystne: pracownicy, u których dochód na członka rodziny nie przekracza 7 tys. zł, otrzymali skierowania na wczasy bezpłatnie (w przypadku kolonii — poniżej 9 tys. zł bezpłatnie); najwyższa odpłatność (przy zarobkach powyżej 17 tys. zł na członka rodziny) wynosi 30 proc. ceny skierowania na wczasy i 25 proc. ceny skierowania na kolonie.

W ZŁOCIE ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO na Polach

Grunwaldu wzięło udział 10 najlepszych drużyn (210 osób) z łomżyńskiego. Nasi harcerze obozowali nad Jeziorem Tymawskim, ok. 8 km od Grunwaldu. Aktywnie uczestniczyli w programie zlotu; pracowali m.in. przy budowie Drogi Zawiszy. Tytuł „Drużyny grunwaldzkiej” zdobyła 31 Drużyna Harcerska „Wędrownicy” z Hufca Zambrów.

NA OBOZIE w Wiśniowej Górze koło Łodzi przebywała uzdolniona młodzież szkół średnich województwa łomżyńskiego (100 osób). Uczniowie rozwijali swoje zainteresowania w czterech grupach: komputerowej, sportowej, dziennikarskiej i politycznej. Dziennikarskie próby młodych ludzi (m.in. sondy: „Czy można bez miłości?”, „Mieć czy być”, „Nie lubię i już”) były bardzo udane; wkrótce część prac opublikujemy w specjalnym dodatku do „Kontaktów”. Uczestnicy obozu spotkali się również z pracownikami naukowymi łódzkich uczelni, zwidzili m.in. studio telewizyjne i wytwórnię filmową.

TEGOROCZNY SPIS ROLNY wykazał, że rolnicy z województwa łomżyńskiego wykorzystują przeszło 647 tys. ha gruntów, z czego 450 tys. ha — to użytki rolne; w rękach prywatnych znajduje się 525 tys. ha (431 tys. ha użytków rolnych). Połowie krów utrzymuje się na poziomie 1986 r. (99,4 proc.), wzrost natomiast pogłowia trzody chlewnej (o 5,1 proc.). Zmniejszył się areal zasiewów żyta (o 10 proc.) i rzepaku (o 46 proc.), wzrósł — pszenicy (o 7 proc.) i pszenżyty (o 34,4 proc.).

BUDOWNICZOWIE SZPITALA Wojewódzkiego w Łomży w tym roku zakończyli kotłownię, hydrofornię, pralnię, warsztat, laboratorium doświadczalne i magazyn intendentów; w trakcie ostatnich przygotowań do przekazania znajdują się: stacja trafo i pierwszy blok łózkowy. Pozostałe tegoroczne terminy są poważnie zagrożone, ponieważ generalny wykonawca — piski „Budopol” — nie może utrzymać odpowiednio licznej załogi. Przedsiębiorstwa budowlane Łomżyńskiego zgodziły się oddelegować na budowę szpitala własnych pracowników.

WYJĄTKOWY URODZAJ OGÓRKÓW (znawcy twierdzą, że najlepszy po wojnie) przysparza kłopotów zarówno plantatorom, jak i zakładom przetwórczym. W ubiegłym tygodniu np. wstrzymał skup Białostockie Zakłady Przemysłu Owocowo-Warzywnego w Wysokiem Maz. Powód: wyczerpanie się „mocy” przetwórczych, mimo że do kieszonki ściągnięto, skąd się dało, beczki, a nawet wanny serowarskie. Kierownik zakładu obiecuje plantatorom, że resztę zakontraktowanych ogórków odbierze pod koniec sezonu.

STOISKO NABIAŁOWE w sklepie nr 27 PSS „Społem” przy ul. Bema w Łomży zdobyło I nagrodę w konkursie spółdzielczości mleczarskiej i handlu — „Mleczna stokrotka” (za podnoszenie jakości handlu wyrobami mleczarskimi). II miejsce zdobyło stoisko w sklepie nr 8 „Społem” przy ul. Wojska Polskiego w Łomży, III — stoisko w sklepie nr 3 „Społem” w Zambrowie. W konkursie wzięło udział 12 sklepów. Warto dodać, że laureat pierwszej nagrody — stoisko sklepu nr 27 w Łomży — znalazł się w pierwszej piątce nagrodzonych na szczeblu centralnym konkursu. Zaopatruje je Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Piątnicy.

„GINACE ZAWODY” — to tytuł wystawy, którą do końca sierpnia oglądać można w Muzeum Okręgowym w Łomży. Zgromadzone na

niej eksponaty, pochodzące z północno-wschodniej Polski, obrazują pracę w zawodach rzemieślniczych, które już w zasadzie nie istnieją (m.in. ciesielstwo, kołodziejstwo, bednarstwo, rymarstwo, garniarstwo, kotlarstwo, strycharstwo). Uzupełniają je archiwalia, dotyczące rzemiosła łomżyńskiego głównie z przełomu XIX i XX w. oraz okresu międzywojennego. Rarytasem jest pergamin zawierający zapis przywileju cechowego, wydany przez Zygmunta III Wazę dla mieszczan łomżyńskich.

TRZY PLENERY RZEZBIARZY amatorów odbyły się już tego lata w Ciechanowcu, Rajgrodzie i Wysokiem Maz. Ich sponsorami były spółdzielnie mieszkaniowe i Wojewódzki Dom Kultury. Rzeźby, które tam powstały, przyozdobiły spółdzielcze osiedla w Rajgrodzie i Wysokiem Maz. oraz Ciechanowcu.

JESZCZE W SIERPNIU i wrześniu Ośrodek Oświatowo-Wydawniczy „Ritmo” Polskiego Związku Esperantystów (Warszawa, ul. Krucza 38/42, tel. 21-10-11, w. 259) przewidzi wakacyjny kurs języka esperanto dla początkujących. Zainteresowani otrzymują bezpłatnie informator oraz gramatykę języka esperanto.

NA DŁUŻSZY CZAS zablokował ulicę Świerczewskiego w Łomży kondukt pogrzebowy, który przeciągnął 28 lipca jej środkiem w godzinie szczytu na stronę nowego cmentarza. Łomżyński zwyczaj chodzenia konduktów pogrzebowych głównymi arteriami, aczkolwiek piękny, musi zostać poddany kontroli, bowiem stanowi wielkie utrudnienie dla ruchu ulicznego.

TARG W CIECHANOWCU: żyto — 4000 zł za kwintal, pszenica — 5000, jęczmień — 4500, owies — 4100, mieszanka żyłowa — 4000, ziemniaki młode — 60 zł za kilogram, ogórki — 10—40 zł, pomidory — 100—120, kapusta — 120—200 za głowę, para prosiąt — 12—20 tys., warczaków — 22—23 tys., tucznik — 320 zł za kilogram, krowa młoda z przychowkiem — 120—200 tys., krowa starsza — 100—150 tys., cielę — 450 zł za kilogram, koń roboczy — 500—750 tys., kureczak — 1100, jajo — 30 zł, wełna przedzona — 9000 za kilogram.

DZIEŃ BEZ „KONTAKTOWEJ” jest dniem straconym! Nagrody w postaci kolorowych i czarno-białych telewizorów, odbiorników radiowych, magnetofonów, gramofonów, odkurzaczy, młynków do kawy, rowerów, sprzętu wędkarskiego itp. — sypia się jak z rekawu! Do wygrania jeszcze wiele cennych fantów, a wśród nich: pralki automatyczne, telewizory kolorowe, rowery i samochody.

SKĄD DO KC PZPR nadchodzi najwięcej listów? W przeliczeniu na 10 tys. mieszkańców — z województw: chełmskiego, stołecznego, ciechanowskiego i ostrołęckiego. Najmniej — z katowickiego, bielskiego, opolskiego i tarnowskiego. Z 21 województw do KC nadesłano więcej listów niż do właściwego komitetu wojewódzkiego. W tym względzie przodują województwa: ostrołęckie, tarnowskie, skierniewickie i łomżyńskie.

SIEDMIU NACZELNIKÓW (na 2402 rady narodowe stopnia podstawowego) nie uzyskało w tym roku absolutorium. Odwołano naczelników: w Żninie (bydgoskie), Sońnicowicach (katowickie), Kowalach (radomskie), Sadownem (siedleckie), Brzoziu (toruńskie), Szczawnie Zdroju (wałbrzyskie), Tamowatce (zamojskie).

PIERWSZY ODDECH

Z niecierpliwością czekali „decenci” od gospodarki na GUS-owską informację o sytuacji społeczno-ekonomicznej kraju w pierwszym półroczu 1988 r. To niezwykłe zainteresowanie wyniki z faktu, że rok ubiegły w żaden sposób nie można traktować jako przejściowego, co miało miejsce z latami poprzednimi. Jest on bowiem pierwszym rokiem obowiązywania — bez żadnych ograniczeń — programu zwanego II etapem reformy gospodarczej. Poza tym nadarza się świetna okazja, aby ocenić, jakie skutki na rynku i w budżetach domowych wywołała lutowa — radykalna — operacja cenowo-płacowa. Podekscytowanie centralnych planistów przypomina więc napięcie lekarza, który czeka na pierwszy oddech pacjenta budzącego się z operacyjnej narkozy.

Niestety, zarówno komunikat GUS-u, jak i inne analizy dowodzą, iż raczej mieli rację sceptycy niż optymiści: żadnych bowiem jakościowych zmian w pożądanym kierunku nie widać. Wprawdzie produkcja przemysłowa wzrosła o 6,2 proc., niż się spodziewano, bo o 6,7 proc. w porównaniu z I półroczem 1987 (planowano wzrost o 4 proc. — po pierwsze — produkcja na rynku powiększyła się tylko o 0,2 proc., a po drugie: i tak wszystkie zepsute niekontrolowane wypływy „pustych” pieniędzy. Ceny wzrosły przeciętnie o 50,9 proc., a dochody obywateli — o 63,7 proc. W takiej sytuacji nawet znacznie większe dostawy na rynek nie zostały zaważone.

W województwie łomżyńskim tym razem odbicie znalazły wszystkie krajowe zjawiska. Dochody ludności rosły szybciej niż wydatki (dotychczas u nas było odwrotnie). W ciągu sześciu miesięcy tego roku mieszkańcy Łomżyńskiego zarobili 57 miliardów złotych (o 73,5 proc. więcej niż przed rokiem), wydali zaś 55 miliardów (o 55 proc. więcej). Z pozostałych 10 miliardów — 5,5 trafil na bankowe konta. Decydujący wpływ na tak znaczny skok dochodów miał wzrost płac. W przemysle województwa przeciętne wynagrodzenie miesięczne w pierwszym półroczu wyniosło 40 888 złotych (wzrost o 68 proc.), w budownictwie — 38 886 (o 58 proc.), transportie — 38 872 (66 proc.), handlu — 33 221 (65 proc.). I w przemyśle, i w budownictwie płace rosły szybciej niż wydajność pracy.

Większość wydatków (38 miliardów) przeznaczona została na zakupy towarów, przy czym najwyższy wzrost zakupów dotyczył alkoholu — prawie o 60 proc. Wynika to ze słabego najwyższego skoku cen wódki w porównaniu z innymi towarami. Z całą pewnością obywateli nie mieli kłopotów z wydawaniem dodatkowych złotych: wzrost cen „pożar” większość ponadplanowych zarobków. W sklepach towarów nie przybywało; komunikat Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego potwierdza długą listę artykułów, których w sklepach prawie nie oglądaliśmy. Przytaczanie jej mamy się z cieniem — i tak wszyscy zmyli ją na pamięć — nie zmienia się bowiem od kilku lat.

z przyjazdnych szpali

W „Prawie i Życiu” (nr 31) Danuta Aleksander Wroniszewski pisze o procesie, wytoczonym kierownikowi Wołódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczołarskiej w Łomży, o niegospodarność (artykuł „Uszlachetnianie, czyli obrywanie z pleśni”).

„Odpowiedzialność za niegospodarność

były prezes Dzwonecki zrzucił na

ceprezesa Kruszeńskiego, ten zaś —

znacznym mierze — na głowę księgowo-

go. Razem natomiast wzięci — na ra-

nadzorcą, która przecież, jako ci-

kontrolującą pracę zarządu, akceptowa-

ła wszystkie te decyzje.

Niemalże kontrowersji budziła równie-

kandydatura kolejnego prezesa, Jerze-

Pińskiego. Jedni powtarzali, że uprzą-

on gospodarze karate, drudzy, że

zawodowego pecha. Jego specjalność

było szefowanie. Dyktował w za-

kładach przemysłu bawelnianego

spożywczego. Po głośnej awarii w

łomżyńskim Przedsiębiorstwie Przemys-

Spożywczego w 1979 roku, dyrektor

skł rok przesiadził w areście; po-

„zapęplił się” w spółdzielczości miesz-

niowej i ogrodniczej, gdzie specjal-

dla niego stworzono funkcję wicepre-

sów do spraw inwestycji. Na prze-

WSOP awansował 1 kwietnia 1985 roku.

zdarzenia

zdanie tygodnia

— Wejście w dialog ze społeczeństwem wymaga uznania jego prawa do samoorganizacji — tego nie zastąpią żadne instytucje fasadowe.

Prof. Bronisław Geremek

myśl z atestem

„Stalin doprowadził do sytuacji, w której człowiek nie mógł przejawiać swej woli.”

Nikita Chruszczow na XX Zjeździe KPZR

W łomżyńskim budownictwie ogłoszono alarm. W pierwszym półroczu 1988 r. budowlani przekazali do użytku zaledwie 30 proc. rocznego planu, czyli 367 mieszkań na 1215 planowanych. W zasadzie nie powinno to nikogo dziwić: stało się już regułą, że nasze budownictwo przez trzy czwarte roku pracuje ślamazarnie, aby w ostatnich miesiącach, a zwłaszcza w grudniu, zdobyć się na fantastyczny wysiłek i odrobić zaległości. Tak się zresztą dzieje w całym kraju. Tym razem jednak opóźnienie jest tak znaczne, że nawet ostatnie „miesiące cudów” mogą okazać się nieskuteczne. A mamy się czego obawiać: do niedawna okres oczekiwania na mieszkanie w Łomży wynosił 5-7 lat, dziś już 10-12; każde opóźnienie może dorzucić jeszcze parę lat.

STAN alarmowy

W pierwszej chwili trudno zrozumieć, dlaczego dzieje się tak źle. Tegoroczna zima była wyjątkowo łagodna; nie przzerwano pracy na budowach ani na jeden dzień. Przygotowanie terenów i dokumentacji — przedmiot ciągłych sporów spółdzielczości mieszkaniowej z wykonawcami — wyraźnie się poprawiło, co przyznali nawet kontrolerzy NIK-u. Gdzie zatem leży problem?

Na pewno w samych przedsiębiorstwach budowlanych, a w naszym przypadku zwłaszcza w Łomżyńskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, które buduje trzy czwarte mieszkań. Wykonało ono w ciągu sześciu miesięcy zaledwie 35,5 proc. planu; PBRol. z Grajewa jeszcze mniej, bo 14,8 proc. Wynika z tego, że w tych firmach nie dzieje się najlepiej. Na ile jest to wina przyczyn obiektywnych, a na ile zależnych od przedsiębiorstw — trudno określić, o trudnej sytuacji przedsiębiorstw budowlanych słyszymy od dawna. Na domiar złego w ostatnich miesiącach doszedł jeszcze chroniczny, nie spotykany dotąd w takich rozmiarach, brak doświadczonego: cementu, wapna, stali, blachy, kuchni elektrycznych itp. Wojewoda interweniował nawet u premiera. Coś tam w końcu udało się wydrzeć, ale jest to zaledwie część rzeczywistych potrzeb; w przypadku cementu — połowa. Jeden z dyrektorów nazwał pracę w takich warunkach mordowaniem — w odróżnieniu od budowania.

Oczywiście, trudności, trudnościami, ale przecież trzeba robić, co się da. W województwie łomżyńskim polega to przede wszystkim na szukaniu wykonawców poza granicami. Uda się to zresztą coraz lepiej, o czym świadczą przykłady Elektrycznego Przedsiębiorstwa Budowlanego, firmy z Pisy i innych. Są jeszcze próby zmian organizacyjnych: spółdzielczość mieszkaniowa i niektóre przedsiębiorstwa budowlane domagają się wyłączenia Fabryki Domów z LPB. Uważają, że w ten sposób uzyskają łatwiejszy dostęp do materiałów, a sam „Fadom” lepiej wykorzysta swoje możliwości produkcyjne. Tę samą zdania jest także organ założycielski. Wojewoda zlecił nawet branżowemu instytutowi z Warszawy opracowanie odpowiedniej analizy (za 1,5 miliona zł). Okazało się, że — zdaniem fachowców z instytutu — wszystko jest w najlepszym porządku. Łomżyński „Fadom” należy do najlepszych w kraju i nie potrzeba niczego zmieniać, chyba że na gorsze.

Jak widać trudno się w tym wszystkim polapać. Budowlani twierdzą, iż wciąż istnieją szanse na wybudowanie zaplanowanych 1215 mieszkań, pod warunkiem, że nie zdarzy się jakiś materiałowy kataklizm.

(jon)

O „darze serca” — z Danutą Pieńkowską, specjalistą wojewódzkim do spraw krwiodawstwa oraz wiceprezesem Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Czerwonego Krzyża — rozmawia Maria Kaczyńska.

HONOROWI

MARIA KACZYŃSKA: — Honorowe krwiodawstwo w Polsce istnieje już 30 lat. Co w tym czasie osiągnęliście?

DANUTA PIENKOWSKA: — Społeczną akceptację i poparcie, które wyrażają najlepiej następujące wskaźniki: do 1957 roku prawie wszystka krew, potrzebna dla ratowania życia ludzkiego, była przekazywana przez dawców odpłatnie; gdy w 1958 roku Polski Czerwony Krzyż zaczął propagować ideę honorowego krwiodawstwa, od honorowych dawców pochodziło 2,5 proc. krwi; dziś — 95 proc.; w naszym województwie wskaźnik ten wynosi aż 98 proc.

— Ile krwi potrzebują szpitale w naszym województwie?

— Największy, w Łomży, ok. 800 litrów rocznie. Łomżyński punkt krwiodawstwa pobrał w ub. roku 1200 litrów. Nadwyżki przekazyaliśmy innym placówkom oraz stacji krwiodawstwa w Białymstoku. Na ogół nasze szpitale nie mają kłopotów, za wyjątkiem Wysokiego Mazowieckiego. Bazą ruchu honorowego krwiodawstwa są duże zakłady pracy, szkoły. W rejonie Wysokiego nie ma takich skupisk, skąd te trudności.

— Ile nazwisk zawierają wasze kartoteki?

— W województwie działa 35 klubów honorowych dawców krwi, skupiających 3180 członków. Wa-

runkiem przynależności do klubu jest zobowiązanie się do co najmniej dwukrotnego oddania krwi w ciągu roku. Najliczniejsze i najprężniej działające kluby są przy Zarządzie Miejskim PCK w Łomży, w ŁZPB „Narew”, „Fadomie”; bardzo dobry klub mają strażacy w Kisielnicy.

— Na czym polega ta działalność?

— Na propagowaniu idei krwiodawstwa. Prowadzą też działalność kulturalną i towarzyską.

— Honorowi dawcy krwi mają pewne przywileje. Jakież?

— Po oddaniu pierwszych 600 mililitrów dawca otrzymuje odznakę honorową III stopnia, 1,5 l — II i 3 l — I stopnia; od 6 do 18 litrów przysługuje im tytuł „Zasłużonych” z odpowiednim stopniem. Odznaka upoważnia człowieka do zwolnienia z pracy i bezpłatnego posiłku w dniu, w którym oddaje krew, oraz korzystania bez kolejki ze świadczeń służby zdrowia; tytuł „Zasłużonego” — do bezpłatnych leków i 4-kilogramowej kartki mięsnej. Po oddaniu 20 litrów mogą liczyć na odznaczenia państwowe, a po 25 — na medal („chlebowy”) „Zasłużony dla zdrowia narodu”.

— Z jakich środowisk wywodzą się członkowie klubów?

— W większości są to robotnicy, również studenci i uczniowie. Najtrudniej pozyskać inteligentów.

— Jakie motywy kierują ludźmi, którzy decydują się na oddanie krwi?

— Duża grupa styka się z krwiodawstwem podczas służby wojskowej. W wojsku oddawanie krwi premiowane jest dwudniowym urlopem. Ludzie ci przekonawszy się, że nie jest to szkodliwe dla zdrowia, pozostają w naszym ruchu również po przejściu do cywila. Inna duża grupa to osoby, które po raz pierwszy oddały krew dla ratowania życia swoich najbliższych. W wielu zakładach pracy praktykowana jest piękna postawa: gdy ktoś ulegnie wypadkowi i potrzebuje pomocy, koledzy udają się do punktu krwiodawstwa. Również ci ludzie, którzy ocalili dzięki temu, że ktoś szybko podjął decyzję o oddaniu krwi, po wyzdrowieniu czują się w obowiązku spłacić „dług”, stają się krwiodawcami.

— A kim są ci, którzy sprzedają swoją krew?

— Jest ich niewiele. Są to dawcy wyselekcjonowani: albo z bardzo rzadkimi grupami, albo szczepieni w celu wyprodukowania surowic testowych; również dawcy osocza.

— Jaka jest cena krwi?

— 8000 złotych za 400 mililitrów.

— Czy praktyka ta nie wzbudza wątpliwości natury etycznej?

— Moim zdaniem: nie. Ludzie ci muszą być dyspozycyjni, przyjeżdżać do nas na nasze wezwania, poddawać się dodatkowym badaniom itp. Te pieniądze to drobna rekompensata za związane z tym uciążliwości. Zresztą, jest to niewielki margines; u nas ok. 2 proc. Pamiętam czasy, kiedy znacznie więcej ludzi sprzedawało krew. I wtedy, i teraz, nie widzę w tym niczego sprzecznego z etyką. Znałam kiedyś małżeństwo, które za uzyskane w ten sposób pieniądze kupowało węgiel na zimę i ubrania dla dzieci...



PISA po raz czwarły

W IV Ogólnopolskim Spływie Kajakowym „Pisa” im. Adama Chętnika, zorganizowanym przez łomżyński Oddział PTTK, udział wzięło 88 wodniaków. Przez cztery dni płynęli oni z Pisy do Morgownik zakolami Pisy, zwiedzając i podziwiając Ziemię Kurpiowską. Na koniec uczestniczyli w konkurencjach sprawnościowych kajakami. Jak co roku nie zawiedli kajakarze z Lublina, a uczestnictwo wodniaka z Francji upoważniało organizatorów do nadania imprezie nazwy „międzynarodowa”. Kto wie, czy tak się nie stanie w przyszłym roku... Póki co, czyniąc zadość kronikarskim obowiązkom informujemy, że najlepiej na trasie spisała się drużyna klubu „Canoe” z Wizny. Gratulujemy! (or)

Fot. GABOR LÖRINCZY (jak i wszystkie nie podpisane zdjęcia w numerze).

● **WISZOWATE** (gm. Trzcianna). Od kilku lat wlezie się budowa drogi łączącej wieś z gminą. Przyczyną jest brak funduszy. W tym roku naczelnik może przeznaczyć na ten cel tylko 1 mln zł.

● **BAJKI STARE** (gm. Trzcianna). Rolnicy chcą wybudować nawierzchnię asfaltową na wiecznie rozjeżdżonej zwirowce. Zwrócili się do Dyrekcji Okręgowej Dróg Publicznych w Białymstoku o przydział asfaltu, ale otrzymali odpowiedź odmowną.

● **BOGUSZKI** (gm. Trzcianna). Przepływająca obok wsi rzeczka wymaga regulacji. Jeśli rolnicy otrzymają fachową pomoc, gotowi są własnoręcznie wykonać część prac. Wojewódzki Zakład Inwestycji Rolniczych ma jednak inną koncepcję: twierdzi, że należy prowadzić melioracje kompleksowo, a nie etapami.

● **LASKOWIEC** (gm. Trzcianna). Rolnicy mają utrudniony dojazd do Grajewa, gdzie mieści się wiele instytucji rejonowych. Postulują, by skomunikować autobus relacji Łomża-Białosuknia z autobusem Trzcianna-Grajewo. Łomżyński Oddział PKS odrzucił jednak ten wniosek.

● **ZUBOLE** (gm. Trzcianna). Wspólne korzystanie ze zwirowni przez rolników i zakład produkcji betonów stało się przyczyną częstych konfliktów. Niewiele pomógł podział zwirowni na dwie części. Lepszym rozwiązaniem byłoby wyznaczenie nowej zwirowni dla zubołów. Jeden z rolników jest gotów odstąpić część swego gruntu z pokładami żwiru.

z bocznych tras

● **SZAFRANKI** (gm. Trzcianna). Ta niewielka wieś jest zagubiona wśród lasów tak, że nie można do niej trafić. Rejon drogowy powinien zatroszczyć się o drogowskazy.

● **KRAMKÓWKA MAŁA** (gm. Goniądz). Po pożarze, który strawił wnętrze klubu, konieczny jest tam remont. Niestety, nie ma nikogo, kto by się tym zajął.

● **OSOWIEC** (gm. Goniądz). Pilnego remontu wymaga szkoła i punkt lekarski. Zdaniem mieszkańców wsi najwłaściwszym rozwiązaniem byłaby budowa nowego ośrodka zdrowia.

● **WROCEN** (gm. Goniądz). Od roku trwa tu budowa szkoły, ale tempo prac nie jest rewelacyjne. Konieczne jest większe zaangażowanie mieszkańców.

● **OWIECZKI** (gm. Goniądz). We wsi jest tylko jeden aparat telefoniczny, czynny do godz. 15.00. Przez lata nikt na to nie zwracał uwagi. Teraz rolnicy zaczynają sobie uświadamiać, że po południu są odcięci od świata.

● **KRAMKÓWKA** (gm. Goniądz). Rolnicy oczekują, że na okres żniw Gminna Spółdzielnia — wzorem lat poprzednich — otworzy we wsi punkt sprzedaży pieczywa.

● **KLEWIANKA** (gm. Goniądz). Są tu opuszczone budynki, w których miała być tuczarnia trzody. Interesują się nimi Włosi, którzy chcą założyć wytwórnię artykułów sanitarnych. Czy uda im się pokonać biurokratyczne przeszkody?

● **ZABOROWO** (gm. Grajewo). Rolnicy już dziś martwią się, że zimą będzie odśnieżać drogę do Sułewa. Problem polega na tym, że część owej drogi przebiega przez teren gminy Wasosz, nie zainteresowanej odśnieżaniem.

ludzie i sprawy



kontakty kontaktów

piłkarski lament

Przypuszczam, że zapadłem na chorobę objawiającą się stopniowym zanikiem uczuć wyższych. Wprawdzie wzrusza mnie jeszcze los sieroty, a także bezdomnego pieska, jednak nijak nie mogę w sobie rozbudzić współczucia dla piłkarzy Łomżyńskiego Klubu Sportowego, na których spadły w tym roku same nieszczęścia. Nie dość, że awansowali do III ligi, to jeszcze do tego mają na swój dalszy rozwój jedynie 8 milionów złotych rocznie.

Ta śmieszna suma odpowiada cenie giełdowej jednego poloneza, a wiadomo, że w drużynie piłki nożnej zawodników jest co najmniej jedenastu.

Dysproporcja między potrzebami a możliwościami jest więc rażąca, a rozgoryczenie piłkarzy i trenera (patrz artykuł Macieja Gryguca w „Kontaktach” nr 28 z 17.07.88 r.) powinno być dla wszystkich zrozumiałe.

Pretensje skierowane są głównie pod adresem zakładów pracy, które nie spieszą się z otwarciem swoich kas przed dzielnymi sportowcami.

Cóż, widocznie wbrew pozorom czasy się zmieniają. Być może doszło już nawet do takiej anarchii, że załogi mają wpływ na to, co stanie się z wypracowanymi przez nie pieniędzmi.

Placąc z własnej kieszeni łatwiej jest zapewne spojrzeć, że piłkarze to nie istoty bezbronne i kalekie, a młodzi mężczyźni mający zdrowe ręce, a przynajmniej zdrowe nogi, którzy mogą zarobić na siebie sami.

Żyje jeszcze do dziś wielu starych „dinozaurów”, którzy kiedyś też kopali piłkę i nie oczekiwali naówczas na jakiegokolwiek datki. W razie skrajnego ubóstwa ich drużyny szły sobie piłki ze szmat.

Nie jest to oczywiście argumentacja, która przekona wszystkich. Można nawet sprawę odwrócić i twierdzić, że to właśnie ta cherlawka, wyrosła bez dotacji młodzież, objawiając ster rządów, doprowadziła gospodarkę do ruiny i jest bezpośrednią przyczyną obecnych kłopotów łomżyńskiej drużyny.

Problem pozostawiam otwarty. Nie można jednak tracić nadziei. Powszechnie uważa się, że piłka nożna cieszy się w Polsce szaloną popularnością.

Należy się więc spodziewać, iż po podjęciu przez prasę tego tematu, przed siedzibą LKS utworzą się niebawem kolejki zagorzałych kibiców oddających swe rodzinne precjoza, biżuterię i dewizy, zrzekających się na rzecz piłkarzy pensji, premii, ekwiwalentów drożynianych, karatek benzynowych i mięsnych.

Tylko bez tłoku, panowie!

WIESŁAW WENDERLICH
Łomża

kto ma zdjęcie generała Suryna?

Zbierając materiały do monografii poświęconej wyższemu dowódcy Wojska Polskiego w latach 1918—1939 natknąłem się na trudności z odnalezieniem zdjęcia generała Suryna, który po przejściu w stan spoczynku (w 1921 roku) zamieszkał w Łomży. Zmarł tu 11 lutego 1928 r. i jako jedyny polski generał spoczywa na łomżyńskim cmentarzu.

Zwracam się z apelem do osób, które mają jakiegokolwiek zdjęcie generała Suryna (choćby grupowe), o wypożyczenie tego zdjęcia do reprodukcji lub wykonanie reprodukcji na mój koszt i przysłanie pod poniższy adres:

ZDZISŁAW NICMAN
ul. Lampego 9 m. 113
01-708 Warszawa

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

nigdy nie stosował tego środka wychowawczego, nie krzyczał, a miał autorytet zarówno w rodzinie, jak i we wsi (sołtysował jej przez jedenaście przedwojennych lat). Matka, kobieta łagodna i wielkiej dobroci, od najmłodszych lat starała się wpoić swojej czwórce kilka życiowych prawd, z których ta najważniejsza brzmiała: nie jesteś na świecie sam, więc żyj tak, by innym było z tobą dobrze; byś wiedział, że jesteś ludziom potrzebny. Sama swoim zachowaniem dawała tego najlepszy przykład, m.in. zakładając przed wojną w Drozdowie koło gospodyń wiejskich. Rodzicom zawdzięcza pani Maria „wychowanie na prawdziwą Polkę”, której nigdy nie wolno było zapomnieć o miejscu urodzenia: i tym „najmniejszym” ze znajomymi drózkami, i tym, które na politycznej mapie świata pojawiło się znowu z woli i siły narodu.

PANI MARIA PAMIĘTA szczególnie dzień 21 stycznia, gdy ruszył front, a ludzie ratowali się ucieczką do lasu na Westerplatte. Z grupą Polaków przez pewien czas ukrywała się w jakimś bunkrze. I wreszcie zwycięstwo. — Nigdy nie zapomnę tego widoku. Nie wiadomo, skąd pojawili się ludzie — wspomina. — Wydawało się nam, że oprócz nas nikogo tu nie ma, a tymczasem zaroiło się jak na odpuszcie. Jedni śmieli się ze szczęścia, inni płakali. Wyglodzeni, wycieńczeni wojną, całowali ziemię, rzucali się sobie w ramiona.

Zupełnie przez przypadek pani Maria znalazła rower. Dało się nim jechać. Bez mapy i planów wracała przez Olsztyn i Toruń. Przygodni towarzysze wędrowki okazali się prawie ziomkami, więc było raźniej i bezpieczniej. I tak dotarli do Wygody. — A wiosna była piękna. Ptaki śpiewały jak oszalałe i wtedy zdałam sobie sprawę, że pokój

gospodynie mobilizowało — wspomina pani Maria. — Przecież się w doborze roślin, czystości ścieżek, malowaniu płotów, nie oglądając się pod tym względem na swoich mężów. Widać było, że ludziom po prostu zależy na tym, żeby miejsce ich życia i na co dzień, i od święta zaskakiwało nie tylko obcych, ale także swoich.

Na pewno nie przypadkiem swój jubileusz obchodziła tu „Gromada”. Drozdowskie gospodynie świętowały dożynki nie tylko na własnym podwórku. Tradycją stały się ich wyjazdy „w Polskę”, w pięknych strojach, haftowanych pod okiem pani Marii. — Nie tak nie potrafi cieszyć się owoc wspólnego trudu — twierdzi pani Maria. — Zapomina się wtedy o znanych uciążliwych, mokrych jesieniach, wiecznej krzątaninie od świtu do nocy. Ziemia jest skarbem i nikogo nie można zwolnić z troski o nią. Zawsze mówię: jeżeli coś robisz dla niej, robisz dla siebie i innych ludzi, więc rób to najlepiej jak potrafisz.

W SPOŁECZNIKOSTWO „wpadła” pani Maria nie wiadomo kiedy, ale na pewno wcześniej niż 17 lat temu, od kiedy jest radną Gminnej Rady Narodowej. — Rada musi wiedzieć, po co istnieje, a ludzie ci, którzy ją wybierali, winni być przekonani, że problemy do rozwiązania są wspólną sprawą. Nie można zepchnąć na radnych tego, co utrudnia życie, i wymagać, by natychmiast od ręki zmienili rzeczywistość. Wszyscy muszą być za nią odpowiedzialni, bo przecież mieszkają obok siebie. Czasem słyszę, jak ludzie mówią, że rada dba o inną wieś, a nie np. o Drozdowo. Staram się tłumaczyć, że jest radą gminną, czyli „ma na głowie” 42 wsie z najróżniejszymi kłopotami, choć z drugiej strony takie oczekiwania wyborców od swoich radnych podnoszą na duchu i utwierdzają w przekonaniu, że radny musi mieć tę siłę przebicia, że coś znaczy.

Tak było z przystankiem autobusowym, o którym pani Maria przypomniała na każdym posiedzeniu. Udało się. Podobnie rozbudowa szkoły. Cegła ze starego browaru poszła na jej mury. Pomagało wojsko i jeszcze orkiestra, przegrupowana na zabawie, z której dochód przekazano na konto rozbudowy. Ludzi przyszło dużo. Wszyscy drozdowianie, bez oglądania się na sąsiada, zabrali się ostro do roboty. Dziś są efekty. A telefon? Rada postawiła na swoim i otrzymała od inżyniera z pobliskiego Niewodowa ku pożytkowi gospodarzy z kilku wsi. Inna burzliwa sprawa dotyczyła cmentarzyska zwierząt na piętnastu fortach. Argumenty GRN-u dotyczące ochrony środowiska zwyciężyły; wystarczyło, że forty „uszczęśliwiła” sama Łomża wysypiskiem śmieci. Pani Maria pamięta też burzliwe posiedzenia komisji rozpatrującej przydział maszyn rolniczych. Nieraz wyjeżdżała z domu rano, a wracała wieczorem. — Radny zawsze jest między młotem a kowadłem — mówi. — Pomożesz jednemu, to drugiego gotowi zarzucić ci, że też cię wybierali, a ty nie dla nich nie robisz. No, ale już takie są dobre i złe strony pracy społecznej. Jeśli już się człowiek podjął, musi się z tym liczyć i nie narzekać, lecz robić wszystko, by się udało.

ZAWIADOMIENIE o posiedzeniu Rady zmienia „program” dnia w gospodarstwie. Maż pani Marii mówi żartobliwie, że rozliczy ją potem z każdej minuty pobytu w Piątnicy. Sama zaś przyznaje, że tylko tam potrafi oderwać się od własnych kłopotów. — Interesują mnie problemy całej gminy, choć nie znam wszystkich ludzi. Chciałabym, żebyśmy nie musieli zastanawiać się nad lokalnymi konfliktami typu „kura w ogródku sąsiada”, które nieraz potrafią skłócić całą wieś nawet z radą sołectwa i bywa, że wstrzymać budowę np. drogi. Stare porzekadło „zgodą buduje” powinno przyswieszczać wszystkim, gdy chodzi o społeczne dobro.

Praca społeczna łączy ludzi, lecz chyba najbardziej wtedy, gdy widać jej efekty — mówi. Tym, którzy czekają na nie z założonymi rękami, chciałaby powiedzieć: przecież wszyscy z tej ziemi jesteśmy.

GABRIELA SZCZESNA

WARTOŚCI MOJEGO ŻYCIA

Z TEJ ZIEMI



To „najmniejsze” to także działy dom, szkoła (budowana też przez ojca pani Marii), każdy kamień, drzewa, które do dzisiaj rosną, i miejsce, na którym kończą się wszystkie drogi — cmentarz z „aleją Bronowiczów”. Znajome twarze, wspomnienia, plik pożółkłych fotografii. To „drugie” zawsze oznacza dla pani Marii tęsknotę i świadomość, że gdy traci się ojczyznę, traci się wszystko. Tego zmienić nie można.

Wrzesień 1939 przyniósł pierwszą rodzinną tragedię: śmierć brata na morzu. Po kolejnej do dziś pozostały pani Marii „dowody rzeczowe”: kawałek szarego płótna z literą „P”, pożółkły dokument („Niniejsza karta pracy uprawnia do pracy tylko u wymienionego pracodawcy i traci ważność po opuszczeniu tego miejsca pracy”) sporządzony w 1943. Zabierali ją z Piątnicy. Miała wtedy dwadzieścia lat. Kierunek: Pratzmen. Piętnaście marek na miesiąc za harówkę na ziemi zarobczy.

jest wartością najwyższą, że musimy o niego walczyć tak, żeby własnie słyhać było ptaki, a nie świst kul i odgłosy wybuchów, żeby ziemia, na której się urodziliśmy, przyjmowała ziarno, a nie miny i ślady czołgów.

I wreszcie nadszedł 20 maja 1945 r., gdy stanęła na progu rodzinnego domu w Drozdowie. Ocalał, choć był bez podłogi i okien. Z całego gospodarstwa rodziców pozostał też jeden koń, a całości dopełniała spalona stodoła. Nie wiadomo było, co się dzieje z drugim bratem. Pozostawało więc pełne niepokoju oczekiwanie.

BUDOWANIE NOWEGO życia nie obyło się bez trudności. Trzeba było zaczynać wszystko od jednej śrubki, wiecznego łatania, wzajemnej pomocy sąsiadkiej. — Gdy czasem opadały ręce z wyczerpania i beznadziei, mówiła sobie: przecież już jesteśmy na swoim i musi być coraz lepiej. Nigdy nie traciłam nadziei, bo wiedziałam, że tylko człowiek może wytrzymać każdy wiatr w oczy i tej nadziei nigdy nie dałam sobie odebrać.

W 1947 roku stanęła na ślubnym kobiercu z Zygmuntem Cwaliną, kawalerem z pobliskich Olszyn. I znowu nowy etap życia, i znowu wszystko od początku. Był dobry — dostali od ciotki prosię, podobno symbol powodzenia w gospodarstwie.

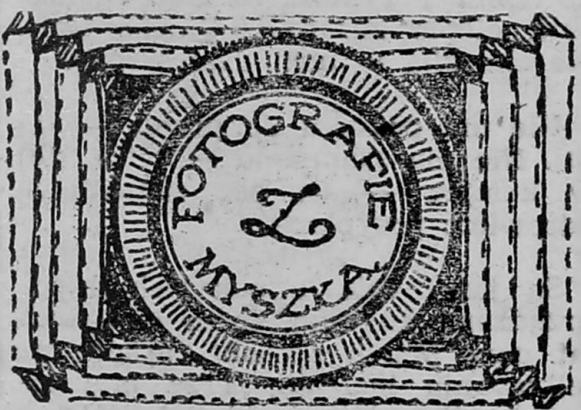
Nowe formy gospodarowania dotarły wkrótce do Drozdowa. Trzynastu rolników (w tym Zygmunt Cwalina) założyło kółko rolnicze. Ciekawą postacią był w tym czasie miejscowy proboszcz, ksiądz Kazimierz Cwalina, żyjący sprawami mieszkańców. Pożyty wtedy pieniądze członkom kółka na zakup młynka do mielenia paszy, żeby rolnicy nie musieli jeździć w tym celu do Łomży. W ogóle był to bardzo dobry człowiek, o szczerokich zainteresowaniach i zdolnościach artystycznych. Wiele jego pieśni dożynkowych przetrwało do dzisiaj. Pod koniec lat czterdziestych Zofia Borawska założyła koło gospodyń wiejskich (należało potem do najlepszych w kraju). Halina Zochowska była skarbnikiem, zaś pani Maria sekretarzem. Czego też kobiety tam się nie uczyły! Kroju i szycia, zachowania zasad higieny przy dojeniu krów, bielenia obór, gotowania, robienia przetworów. Ponadto przygotowywały program uroczystości dożynkowych, świętowały 8 marca, organizowały konkursy z tym najpiękniejszym: przydomowym ogródków. — Muszę przyznać, że bardzo to wszystko

W Łomży ceny biletów w autobusach miejskich wzrosły z 15 do 20 złotych (ulgowo do 10). Okazało się, że w budżecie wojewódzkim zabrakło 57 milionów, aby zrównoważyć dochody i wydatki Zakładu Komunikacji Miejskiej oraz zapewnić mu przepisowy dziesięcioprocentowy zysk. Właściwie nie ma w

PODWYŻKA

tym nie zaskakującego: dyrekcja Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej proponowała to już w grudniu ubiegłego roku. Wówczas wojewoda nie zdecydował się na tak znaczną podwyżkę, licząc zapewne, iż jakoś brakujące środki zdobędzie. Nie zdobył.

Pisaliśmy już kilka razy o taniości naszej miejskiej komunikacji... i niczego nie odwołujemy. Rzeczywiście, od kilku lat Łomża utrzymuje się w pierwszej trójce województw pod względem kosztu (niskiego) jednego kilometra przejechanego przez miejski autobus. Według danych za pierwsze pięć miesięcy tego roku, kilometr jazdy „empekiem” kosztował firmę 115 zł, z czego na płace przypadało 40 zł, na paliwo — 27, na amortyzację — 15, na remonty — 25. Możliwości obniżenia kosztów właściwie nie ma: kierowcom wypłat nie można ograniczyć (i tak pracują 250—300 godzin, zamiast ustawowych — 176), nie ma technicznych możliwości ograniczenia zużycia paliwa poniżej 22 litrów na 100 kilometrów (jedna z najniższych średnich w kraju), amortyzacja zależy od cen autobusów, a te stale rosną, remonty prowadzą własne zespoły gospodarcze, a większość części trafia do regeneracji. Słowem: cudów nie ma — trzeba płacić. Po najnowszej podwyżce dochody ZKM pokrywać będą 54 proc. kosztów (poprzednio 47) i wiedzieć trzeba, że niczego to nie zmieni, po prostu budżet wojewódzki załata kolejną dziurę. Na pewno nikt nie może obiecać, że była to podwyżka ostatnia. (jon)



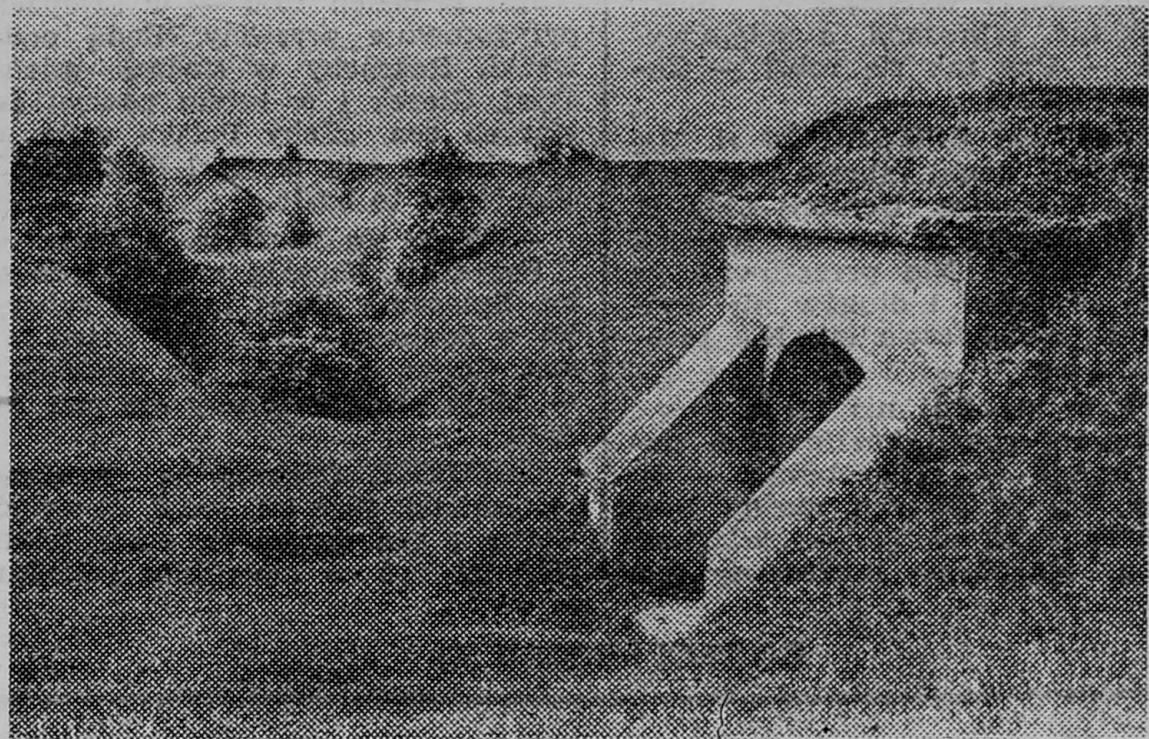
SZEWEC Z HERCEM

W majatku Przecieżskich koło Zareb Kościelnych zdarzyła się rzecz niestychana: córka dziedzica zakochała się w fornalu. Rodzina wyrzekała się jej. Młodzi pobrali się i, choć zdani na własne siły, wbrew przewidywaniom żyli zgodnie. Szlachcianka Franciszka, już teraz Kazikowska, została dworską klucznicą. Po latach dorobili się własnego domu, gdzie zamieszkali z pięciorgiem dzieci. Najstarszemu z synów, który został szewcem, matka-szlachcianka powierzyła opiekę nad złotym sygnetem, z wyrytym na czerwonym polu herbem Dołęga. On z kolei przekazał rodzinną pamiątkę swojej bratanicy, Zofii Kuleszy, dzięki czemu mogliśmy podziwiać sygnet wraz z innymi pamiątkami na wystawie w Muzeum Okręgowym w Łomży.

Franciszka Kazikowska z d. Przecieżska, po śmierci fornała, który zginał w 1920 roku, wyszła ponownie za mąż, za byłego tramwajarza konnego z Warszawy, Malinowskiego, który w „posagu” wniósł jej pięćdziesiąt złotych dzieci. (Na zdjęciu: Kazikowski).

BOLESŁAW DEPTUŁA

FOTOTEKA



Łomżyńskie forty wciąż stoją otworem. Widać czekają, aż zdarzy się wypadek, który wstrząśnie opinią publiczną. Wynika z tego, że kalectwo lub śmierć mniej kosztują od solidnych drzwi przy wejściu do lochów.

BOLESŁAW DEPTUŁA

SŁODKIE ŻYCIE

TAKIEGO MIASTA NIE MA

Nie miałam widać kłopotów, skoro zachciało mi się jechać na wczas do Krynicy Morskiej. W telewizji powiedzieli, że to kurort, pani z socjalnego potwierdziła. No więc dobrze, jadę. Ale jak? Dzwonię na stację PKP w Łomży i pytam kulturalnie: „Jak do Krynicy?”. W odpowiedzi słyszę: „Takiego miasta nie ma”. Koniec świata, zaczęli czytać? Po dłuższej wymianie zdań dowiaduję się, że dla PKP „nie ma” oznacza: „nie dociera tam pociąg”. Uff! Odetchnęłam z ulgą. Dobrze i to. Ale jak tam dotrzeć? „A bo ja wiem?” — mruczy głos w słuchawce. Trzymając w prawicy słuchawkę, lewicą sięgam po atlas. W jakim kierunku jechać? Może do Elbląga? Albo do Gdańska? „To nie od nas, to z Warszawy” — narzeczcie coś konkretnego. „A z Białegostoku nie można?” — sugeruję nieśmiało. „Nie, trzeba wsiąść w pociąg do Szczecina”. Przez Gdańsk? „Tak”. Stosując metodę dedukcji, już po godzinie wykombinowałam, że trzeba dostać się do Trójmiasta. Teraz szybko do „Orbisu”? Wchodzę i oczom nie wierzę: żłobek to czy przedszkole? Gromada dzieciaków biega z piskiem, a ich mamusi kłębą się w potężnym ogonku przed jedynym czynnym okienkiem.

Biadła w okienku, choć uwija się jak w ukropie, niewiele może zwojować. Racja, urlopy! Zostawili ją i pojechali plażować do Krynicy Morskiej, bo chociaż „Orbis” zarabia na cudzych urlopach, też mu się wypoczynek należy!

Po godzinie dotarłam do okienka i zamówiłam kuszetki do Gdańska. „A z Gdańska do Krynicy autobusem” — mówię do panienki. „PKS nie korzysta z naszych usług. Nie mamy nawet rozkładu jazdy” — słyszę w odpowiedzi. No tak. Tego się należało spodziewać. Dzwonię do PKS-u. Wojewódzki rozkład jazdy mają, ale na całą Polskę nie. Rezerwacja z Gdańska do Krynicy? „Czy pani sobie żartuje?” — dopytuje się męski głos. „Panie, ja do „Kontaktów” napiszę” — straszę faceta. „A pisz pani, może dadzą ten rozkład.”

Co robić? W domu zabrałam się do przerzucania wyblakłych fotografii. Jest! Z boku numer telefonu w Gdańsku. Nie wiem tylko, czy dotyczy on blondyna z prawej, czy tygo z tyłu. Dzwonię: „Kochanie, trzy bilety do Krynicy...” Po czterech dniach facet przysyła mi te bilety listem poleconym...

OSA

Z PRZESZŁOŚCI

Punktem zwrotnym wojny polsko-radzieckiej 1920 roku była kontr-offensywa wojsk bolszewickich w lipcu 1920 r. Armia Czerwona dotarła w okolice Grodna i Białegostoku, kierując się ku Warszawie. Ziemia łomżyńska znalazła się w rejonie działań wojennych od 27 lipca do 22 sierpnia.

8 lipca odbyło się zebranie mieszkańców Łomży, mające na celu utworzenie powiatowego Komitetu Obrony Narodowej. W rezydencji biskupa Jałbrzykowskiego zebrało się ok. 50 osób. Wybrano tymczasowy zarząd Komitetu, składający

GORĄCE LATO 1920

się z pięciu osób (biskup Romuald Jałbrzykowski, notariusz Aleksander Cholewiński, ziemianin Józef Jabłoński, robotnik Karol Jaroszyński i inżynier Kazimierz Pokorzyński). 12 lipca odbyło się ponownie ogólne zebranie delegatów (po dwóch z każdej instytucji), na którym wybrano właściwy Komitet, składający się z 10 osób. Oto jego skład: Romuald Jałbrzykowski, Aleksander Cholewiński, dyrektor gimnazjum męskiego Wiktor Osiecki, Kazimierz Pokorzyński, Józef Jabłoński, lekarz Stanisław Dąbrowski, radny Rady Miejskiej Franciszek Hryniewicki, notariusz Stanisław Kurczus oraz dwaj reprezentanci Kółek Rolniczych — Leopold Aliński i Franciszek Podbielski. Do tego składu za ogólną zgodą dokończono jeszcze kilka następnych osób: dyrektora Krajowej Kasy Pożyczkowej — Władysława Roszkowskiego, przedstawicielkę Ligi Kobiet Polskich — Janinę Gebertównę, przedstawicielkę Koła Polek i Katolickiego Związku Kobiet Polek — Ewelinę Schirmęrową i Irenę Rynflejszową oraz naczelnika Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego — Kazimierza Antosiewicza.

20 lipca Aleksander Cholewiński został pełnomocnikiem na powiat łomżyński Obywatelskiego Komitetu Wykonawczego Obrony Państwa w Warszawie.

Komitet łomżyński posiadał sekcje: finansową, propagandy, werbunkową, sanitarną i opieki nad uchodźcami (przewodniczył jej biskup Jałbrzykowski). Do czasu bitwy pod Łomżą, która rozpoczęła się 27 lipca i trwała przez pięć dni, Komitet niewiele zdziałał, ale za to wykazał się dużym zaangażowaniem po opuszczeniu Łomżyńskiego przez wojska radzieckie.

Podczas pobytu w Łomży wojsk radzieckich niektórzy członkowie Komitetu byli uwięzieni, m.in. biskup Jałbrzykowski; na usilne prośby mieszkańców prawie wszyscy zostali zwolnieni.

CZESŁAW BRĄDZICKI

O kulisach wakacyjnej laby — z Zygmuntem Cichockim, nauczycielem wf z Zespołu Szkół Budowlanych, pracującym jako zastępca kierownika wakacyjnego ośrodka wycieczkowego TPD dla dzieci wiejskich w Łomży — rozmawia Maria Kaczyńska.

wakacje bez nudy

MARIA KACZYŃSKA: — „Zaliczył” Pan już dwa turnusy w Warszawie, przed Panem dwa w Łomży. Czy zawsze tak pracowicie spędza Pan wakacje?

ZYGMUNT CICHOCKI: — Co roku jest to samo: najpierw sobie obiecuje, że tym razem całe wakacje będzie miał dla siebie, a potem daje się namówić paniom z Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, które ciągle mają kłopoty z zatrudnieniem kadry do wakacyjnych ośrodków.

— Dlaczego?

— Płacą niewiele. Właściwie jest

to praca społeczna.

— Jak jest program ośrodków wycieczkowych dla dzieci wiejskich?

— Umożliwienie tym dzieciom kontaktu z „miejską” cywilizacją.

— Co miasto im oferuje?

— To zależy od miasta. Przed rozpoczęciem pracy tutaj byłam z dziećmi z województwa łomżyńskiego w Warszawie. Tam nie mieliśmy problemu z „zagospodarowaniem” czasu. Było wiele zabytków do zwiedzenia i historii do poznania; jeździliśmy tramwajami i kąpaliśmy się w basenach; chodziliśmy do teatru i kina. Łomża pod tym

względem ma bardzo mało do zaoferowania. Jest to jedyne miasto wojewódzkie w Polsce, które nie posiada basenu pływackiego. Nie ma ani hali sportowej, ani porządnego domu kultury. W jednym kinie mieści się tylko 240 osób. Chcąc obejrzeć film, musieliśmy zamawiać specjalny seans. Ze wszystkim jest wiele zachodu. Musimy się bardzo wysilać, żeby wypełnić dzieciom ciekawie i pożytecznie czas.

— Co robić?

— Główną atrakcją będą wycieczki: do Nowogrodu, Białowieży, na Mazury. Mamy bogaty program sportowy. Będziemy organizować konkursy, ogniska, spotkania, dyskoteki. Wymaga to wiele wysiłku i różnych zabiegów, ale cóż, skoro podjęliśmy się tej pracy, musimy sprostać obowiązkom. Dzieci nie mogą nudzić się ani przez chwilę, bo jak zakrada się nuda, rozpoczynają się problemy wychowawcze.

— Jak was żywi kuchnia Bursy nr 1?

— Bardzo dobrze. Właściwie aż za dobrze. Normy żywieniowe są jednakowe dla 8- i 15-latków. Młodsze dzieci nie dają rady zjeść wszystkiego. Aż przykro patrzeć, jak marnują się pomidory, kielbasa, masło.

— Dziękuję za rozmowę.

5

KONTAKTY
1988-08-07

wieści grodzkie



CIAĞ DALSZY ZE STR. 1

POTRZEBA INCOGNITO. Pan Marta (mąż, dwoje dzieci) chce pozostać anonimową. — Głupio mówić o swojej biedzie. — W jednym zakładzie pracuje ponad 20 lat, w PRL — około trzydziestu.

— Czy można się dorobić z pensji?

— Bez cwaniactwa: nie!

Nie mają działki, krewnych w Ameryce, ani nawet znajomych. Samochód? Nawet nie marzą. Modne ciuchy, kosmetyczka, wczasy — za co?

Pani Marta: — Urban powiedział, że dwadzieścia procent żyje poniżej minimum. Niechby spróbował przeżyć za 11 000 złotych. To jest niemożliwe. Wiem, bo umiem rządzić pieniędzmi. Nawet starszek na zakupach mlecznych nie da rady.

Pani Marta od 1962 roku należy do Partii. Teraz jest w egzekutywie zakładowej POP. Czy ma jakiś wpływ na to, by było lepiej?

— Żadnego. Mogę tylko gadać i na tym się kończy. Na zebraniach nieraz mówimy, co trzeba zmienić w zakładzie. I nic z tego nie wynika.

Co mają? Tylko to trzypokojowe, małe mieszkanie w centrum Łomży. Do niedawna mieli jeszcze krewnego — brata pana Adama. Mówią o nim z dumą i goryczą: — Studia na piątkach, zaszedł wysoko, był ekspertem od gospodarki wodnej w ONZ. Zmarł na zawał. — Napisano o nim: „odszedł człowiek niezwykle skromny i bezinteresowny, ogromnej pracowitości i rzadko spotykanej sumienności. Prawością charakteru, wielką zaletą serca i umysłu, zajął trwałe miejsce we wspomnieniach wszystkich, którzy go znali” („Gospodarka Wodna” 1979/1).

Pani Marta dopowiada: z żoną i córką mieszkał w kawalerce w Warszawie. Nawet „malucha” nie miał. A zabierał głos w ONZ.

— Uczciwy bardzo. Nie dorobił się niczego. Tylko książek i zawału. Trzy lata bez urlopu. Zmarł mając 44 lata. Dopiero po śmierci otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Nie potrafił się dopominać o swoje. Tylko praca, tylko nauka.

— Nie warto być uczciwym — pani Marta mówi z goryczą. — Oplaca się tylko cwaniactwo. Uczciwość nie jest nagradzana.

On w dylemacie „być czy mieć” — wybrał „być”. Jego bogactwem były osiągnięcia naukowe. A czy grzechem jest i być, i mieć? Chociażby to minimum, ułatwiające życie we współczesnym świecie? Nie godzą się na takie rozgraniczenie. (Przed chwilą popsuł się odkurzacz — po kilkunastu, zresztą, latach użytkowania. Kupno nowego — nieprzewidywany wydatek — i problem gdzie go kupić?).

PANNA MŁODA ZA KUCHNIĄ.

Marta i Adam, wojenne dzieciństwa. Później on — kończy Technikum Weterynaryjne, on — liceum w Łomży, z przewagą piątek. Marzy, by zostać lekarzem — specjalistą medycyny sądowej. Dostaje się bez trudu na studia — jego marzenia mają szansę na spełnienie. Uczy się bardzo dobrze. I nagle na trzecim roku powala go choroba. Poważna, z nawrotami; nie ma na nią radykalnego lekarstwa. Wali się jego przyszłość. Brat starszy o dwa lata zostaje inżynierem. On — wraca do Łomży, zaczyna pracować w GS-ie.

Marta tylko cztery miesiące pracuje w swoim zawodzie w Mońkach. Matka ciężko zachorowała, musi wracać. W Łomży nie ma pracy dla technika weterynarii, zatrudnia się w Prezydium Powiatowej Rady.

Poznają się w MDK w klubie brydżowym. Jest rok 1965. Nie boją się przyszłości, jego chorowania. Zresztą, jest znaczna poprawa. Wynajmują pokój i już w tym „własnym” pokoju urządzają weselne przyjęcie.

Ślub odbywa się w katedrze, raniutko o wpół do siódmej. Jest tylko najbliższa rodzina. Panna młoda w białym kostiumie, pan młody w czarnym garniturze. Jadą nie umajoną taksówką. Umajona — za duży wydatek. Potem panna młoda się przebiera i gotuje obiad dla gości we wspólnej kuchni.

Drugi watek: jej partyjność. — To nie był żaden ideowy wybór — wspomina. Lubiła swego szefa, nie chciała mu robić przykrości swoją

odmową. Świadomego wyboru dokonano później, gdy wszyscy wokół rzucali legitymację („kartę pływacką”). Ona — nie. Została. — Nie będę uciekać, jak szczer z tonącego okrętu. — Ale wiele jej się u towarzyszy nie podoba. Na przykład znajomy wziął wszystko co mógł, mieszkanie, samochód, a potem wystąpił. — Czy tak się robi? — Zawiesza pytanie.

KILOGRAM SCHABU 56 zł. Nie mieli. Z domu zabrała tylko pańską wersalkę. Uciulała 6000 zł, wzięła pożyczkę z banku, wpłacili na mieszkanie. Nie przezywali, że z tych pożyczek i długów nie wyjdą przez dwadzieścia lat. Nie przezywali, bo:

— Złyło się lżej niż teraz.

Kilogram cukru kosztował 6 złotych, masło — 17,50, bułka — 50 groszy. Za 27 złotych można było kupić rąbki, za 56 — kilogram schabu. Mokasyny kosztowały 400

złotych, małe dzieci placzą. A ona się tłumaczy, że oszukali, towaru nie dowieźli. Suma ogromna, dzieci się pensji. On przeżywa, choruje. Kontroluje magazyn: braki — na 150 000. — Kradli, sprzedawali na lewo mieszkanki dla świń.

Jest grudzień 1970 — w sklepach przygotowuje przeceny. Będą podwyżki. Rozruchy w stoczni gdańskiej, Gierek i w lutym powrót do starych cen. „Żeby Polska rosła w siłę, ludzie żyli lepiej i dostatniej.” Pamiętają to hasło.

— W to się wierzyło. A teraz?

Pożyczka. Kupują pralkę, lodówkę. Spłacanie długu to stała rubryka w domowym budżecie. Dzieci rosną. Córka w szkole „na piątkach”. — Moja krew — cieszy się pan Adam.

KOMITET. Czeka na zmianę mieszkania. Pięć lat, sześć, dziewięć. Córka i syn dorastają, coraz trudniej im żyć w małym pokoiku.

BOGACI I BIEDNI (6)

POLSKA BIEDA



złotych, a plaszczy — 700—800. Nie zarabiali wiele: on 1200 zł, ona 1500. — Ale były to pensje bardzo realne. Wiadomo, co się miało. — Żyją bardzo oszczędnie. Czeka na mieszkanie, liczą każdy grosz. Będzie lepiej.

I pierwszy dramat: piąty miesiąc ciąży, rodzi się martwe dziecko. Rozpacz. Następna ciąża: martwe w siódmym miesiącu. Przyczyna? Lekarze są bezradni, pani Marta jest zdrowa.

ZŁOBEK? NIE! Miesiące leżenia w szpitalu. Córka, zdrowa, duża. Radość ogromna. Karmiona piersią rośnie bez kataru. Kupują wózek, wydatek — 1700 zł. Trzy miesiące urlopu i pani Marta wraca do pracy. Do dwóch lat opiekuje się małą babcią, a potem złobek. Wstają o piątej, dziecko budzą o szóstej, wyrwywają ze snu, latem, zimą. Basia płacze. Buntuje się. Nie chce do złobka.

Po trzech latach już dostają mieszkanie. Kawalerkę — 36 metrów kw. Rodzi się Marek, składają podanie o większe. Są pełni optymizmu — chyba łatwiej zamienić niż otrzymać. Basia do przedszkola, Marek do żłobka (w dodatku ciągle choruje). Ona ze spuszczoną głową, on z płaczem. Oni w biegu. Spłacili bank, następną pożyczka — na meble.

KRADNA. Pan Adam w sklepach GS-ów przeprowadza remanenty. Wraca późno, coraz bardziej zdenerwowany. Tu wykrył manko 50 000 zł, tu ponad 120 000 — sklepowa are-

strowana, małe dzieci placzą. A ona się tłumaczy, że oszukali, towaru nie dowieźli. Suma ogromna, dzieci się pensji. On przeżywa, choruje. Kontroluje magazyn: braki — na 150 000. — Kradli, sprzedawali na lewo mieszkanki dla świń.

Jest grudzień 1970 — w sklepach przygotowuje przeceny. Będą podwyżki. Rozruchy w stoczni gdańskiej, Gierek i w lutym powrót do starych cen. „Żeby Polska rosła w siłę, ludzie żyli lepiej i dostatniej.” Pamiętają to hasło.

— W to się wierzyło. A teraz? Pożyczka. Kupują pralkę, lodówkę. Spłacanie długu to stała rubryka w domowym budżecie. Dzieci rosną. Córka w szkole „na piątkach”. — Moja krew — cieszy się pan Adam.

KOMITET. Czeka na zmianę mieszkania. Pięć lat, sześć, dziewięć. Córka i syn dorastają, coraz trudniej im żyć w małym pokoiku.

— W to się wierzyło. A teraz? Pożyczka. Kupują pralkę, lodówkę. Spłacanie długu to stała rubryka w domowym budżecie. Dzieci rosną. Córka w szkole „na piątkach”. — Moja krew — cieszy się pan Adam.

KOMITET. Czeka na zmianę mieszkania. Pięć lat, sześć, dziewięć. Córka i syn dorastają, coraz trudniej im żyć w małym pokoiku.

Już dłużej nie mogła zaciskać zębów. Poszła do lekarza podczas urlopu. — Pani nie nadaje się na oddział wewnętrzny. Od razu na chirurgię.

Wycięli część żołądka i dwunastnicy. Wrzody. To było w roku 1983. — O piętnaście lat za późno. — Sanatorium i życie już bez bólu. Co za wspaniałe uczucie.

Ale myślenie zostało. W napięciu, w gonitwie. Co robić, żeby starczyło. Liczy, planuje, a tu Markowi się spodnie rozpadły. I na nie całe liczenie. Co zostaje? Oszczędzać na jedzeniu.

— Szlag mnie trafia, gdy nie starczy na życie.

Nie kupuje jabłek, za drogie. Jedyny luksus to dobre mydło do kąpieli, słodkie pachnące; tylko tyle. Aha, jeszcze dwa razy do roku wizyta u fryzjera.

SMAK BRZOSKWIŃ. Największe radości: ma dwie takie. Pierwsza, gdy pojechała raz w życiu za granicę z „Juventurem” na Węgry, do Egeru. — Było cudnie. — Kąpiel w ciepłych basenach, w wulkanicznych źródłach, pogoda piękna i brzoskwinie jak jabłka, ogromne. I to oderwanie się od kuchni, niskich pensji i kłopotów. O kolejnej pożyczce też mogła zapomnieć.

I druga radość: Basia dostaje się na studia (handel zagraniczny). Matura na piątkach, egzamin, pojechała razem na ogłoszenie wyników. Czekali siedem godzin, od jedenastej do osiemnastej. — Zobaczyłam ją pierwszą na liście. Płakałam. Moja radość nie miała granic.

KARTKI. To był najgorszy okres. Nie młodość w wynajętym pokoju. Nie choroby. Ale wtedy, gdy Basia przychodziła ze szkoły z mokrymi stopami; zima, a buty na kartki. I w dodatku nie ma. Przywieźli. Pan Adam wziął kartkę, poszedł w kolejkę. O mało go nie zgnetli. O mało nie zasnęli. Ale trzymał się — przecież nie mógł wrócić bez butów dla dziecka.

Złany potem, szczęśliwy, przyszedł do domu. Przyniósł, za 2900, rumuńskie, ciepłe kozaczki. Trochę małe, ale chodziła w nich dwa sezony.

Nie ma proszku do prania — lataj. Nie ma szamponu — lataj, stoj w kolejce — Ci bez znajomości, zdrowiem przypłacili!

Są już meble w pokojach dzieci, urządzona kuchnia, teraz od trzech lat pani Marta sposobu się do kafełkowania łazienki. Trzy lata temu kupiła glazurę (ileż by teraz kosztowała?), gdy spłaci aktualną pożyczkę, następną przeznaczyc na łazienkę. Trzeba jeszcze kupić terakotę, czy starczy na wszystko 100 000 złotych?

MNIEJ NIŻ ZERO. Trzy lata temu pan Adam, robiąc zakupy, dostał drugiego zawału. Teraz już tylko ona kupuje w zakładowym kiosku. Wychodzi do pracy o godz. 6.30, wraca o 15.30 — całe życie sama gotowała obiady. Tak taniej i smaczniej.

Gdyby miała zacząć życie od nowa, może skończyłaby studia? Bo pracując zapisała się na zaoczne studia prawnicze, ale nie udało się. Zawalila po pierwszym semestrze. Może teraz miałaby więcej ambicji, uporu? I życie wyglądałoby inaczej, bogatsze jakości?

— Wegetacja. Od pierwszego do pierwszego.

Marek w szkole zawodowej, Basia na studiach. Jest bardzo zdolna, dodatkowo uczy się języka hiszpańskiego. Dostaje stypendium plus 10 000 złotych z domu. Do rodziców nie ma pretensji, że nie ma modnych spodni, czy superdzinsów. Kupuje książki, prasę, czasami dobry dezodorant. Stawia na „być”.

Czasami nuci: „matura zdana na pięć... jestem mniej niż zero, mniej niż zero”.

Pani Marta po 24 latach wzorowej pracy w tym samym zakładzie zarabia 33 000 złotych. — Żeby choć raz starczyło i coś zostało — marzy.

ALICJA NIEDŹWIECKA

Najwięcej zawałów serca występuje na Syberii (doniosła o tym niedawno agencja PAP). Taką informacją podzieliła się delegacja radziecka na międzynarodowym zjeździe kardiologów w San Diego w Kalifornii. Dla specjalistów była to prawdziwa sensacja. Niespodzianka tym większa, że Kalifornia, o klimacie zbliżonym do syberyjskiego, zajmuje jedno z ostatnich miejsc w tej statystyce. Przyczynę tych skrajności kardiologzy znaleźli w odżywianiu. Sybiracy jedzą dużo tłuszczów zwierzęcych, obficie zakrapianych spirytusem. W Kalifornii natomiast spożywa się chude mięso i pije dość umiarkowanie.

W maju br. Zarząd Klubu Publicystów Rolnych, wspólnie z Krajowym Towarzystwem Propagowania Zdrowej Żywności, zorganizował w Tarnowie kolejną sesję. Hasło „zdrowa żywność” coraz częściej pojawia się w naszym słowniku i na łamach prasy. Poczynając od „wyznawców kielków i otrębów” na poważnych dyskusjach naukowców kończąc. Samo hasło należy traktować wywoławczo — kryją się pod nim dwa kierunki działania. Jeden — to popularyzacja racjonalnego, zdrowego odżywiania się i drugi — popularyzacja działań na rzecz produkcji nieskażonej, tzn. czystej biologicznie żywności. Oba napotykają na wiele przeszkód.

Zresztą, sama definicja naukowo-medyczna „zdrowej żywności” wydaje się być trudna do sprecyzowania. Nawet specjaliści o nią się spierają. Chyba najtrafniej sformułował ją prof. Światosław Ziemiański z Instytutu Żywności i Żywienia w Warszawie. „Jest to żywność najwyższej jakości, zawierająca potrzebne człowiekowi składniki odżywcze w odpowiednich ilościach i proporcjach, przy braku lub obecności w niej jedynie dopuszczalnych ilości substancji obcych, nieodżywczych”. Żywność najwyższej jakości. W „Problemach” z kwietnia 1988 r. wydrukowano tabelkę „Zawartość ołowiu w kościach ludzkich na przestrzeni dziejów”: Inkowie — 0,55 jednostek, Rzymianie — 4,7, mnisi augsburscy (lata 1000–1200) — 5,0 i człowiek współczesny — 12,0 jednostek. Osobnych wyników z Polski, niestety, nie ma.

zaczęli entuzjaści

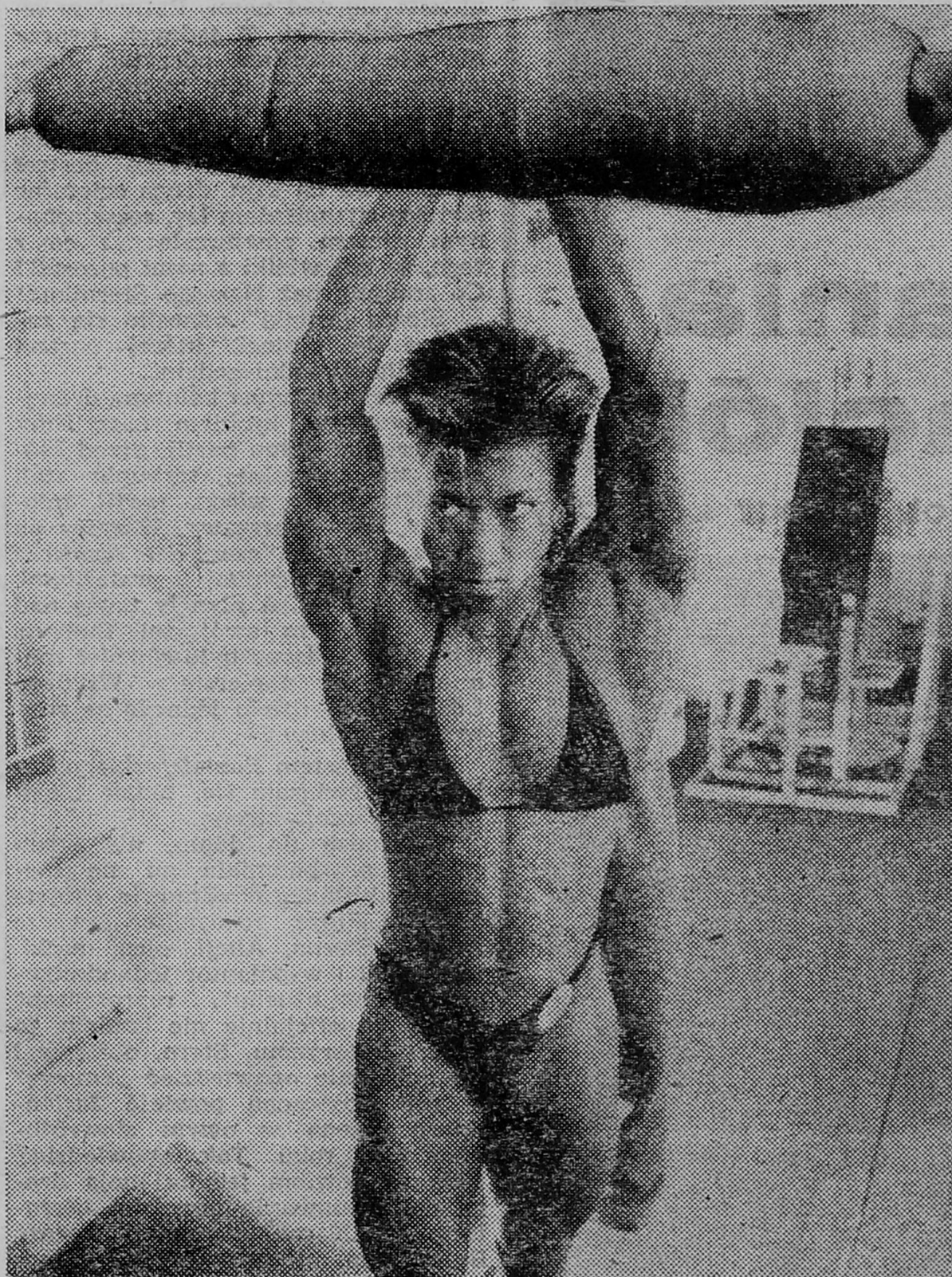
We wrześniu w Tarnowie odbędą się czwarte już Krajowe Targi Zdrowej Żywności. Warto odnotować, jak do tego doszło.

Cztery lata temu w tygodniku zakładowym „Tarnowskie Azoty” dr Jacek Roik zaczął doradzać czytelnikom, w jaki sposób należy się odżywiać. Zainteresowanie cyklem przerosło oczekiwania. Zaczęto organizować akcje popularyzatorskie. W tarnowskich sklepach pojawiły się stoiska ze zdrową żywnością. Organizowano pokazy, degustacje, spotkania i odczyty. Przy redakcji

Rolę bogatego wujka, sypiącego groszem, spełniają tarnowskie „Azoty”, a więc główny truciciel miasta. Chemiczny moloch — źródło największego zamieszania w tamtejszym środowisku naturalnym.

Podczas sesji dyrekcja zakładów przedstawiła swoje poczynania, eliminujące ujemne skutki szkodliwej produkcji. „Co technika zniszczyła, sama powinna naprawić” — ta myśl prof. Zenona Klemensiewicza towarzyszy im na co dzień. Wiele już zrobiono, jednakże przy niemożnościach w skali kraju — daleko do tego, by było dobrze. Cenne jest jednak, że obok poważnego traktowania obowiązków ochrony środowiska (z nich przecież także można się wyłgać), zakład włączył się do ruchu zdrowej żywności, chociażby na zasadzie — róbmy coś.

WYZNAWCY ZDROWEJ MARCHEWKI



„Azotów” powstało Centrum całego ruchu, zrodziła się inicjatywa utworzenia Krajowego Towarzystwa Propagowania Zdrowej Żywności.

Weześniej grupa entuzjastów podejmuje się zwołania I Krajowych Targów. Wspiera ich dyrekcja „Azotów”, znajdują sojuszników wśród przedstawicieli władz, handlowców, nauczycieli. Targi w Tarnowie stają się tradycją, a miasto — centrum tego spontanicznego ruchu. Zyskują jeszcze jednego sojusznika — już poza Tarnowem i to nie byle jakiego — protektorat nad Towarzystwem obejmuje wicepremier Józef Kozioł. Honorowym przewodniczącym zostaje wybrany oczywiście prof. Julian Aleksandrowicz — wielki humanista, lekarz i propagator zdrowego odżywiania.

Targi — impreza w zasadzie handlowa, stają się okazją do nawiązywania kontaktów, do podejmowania nowych inicjatyw. Równolegle organizuje się sympozja, popularne odczyty, wykłady, a wszystko to pod hasłem „jak żyć zdrowiej”.

to się też opłaca

W pobliskim „Igłopolu” (z ambicjami nowoczesności w myśleniu i działaniu) nie brakuje także sojuszników. Kombinaty Rolno-Przemysłowy startował 10 lat temu z 300 ha, dzisiaj gospodarzą na 60000 ha, a marzy im się 100 000 ha. Nie przeszkadza im to kooperować z 16 000 gospodarstw indywidualnych. Firma jest obecna (rozwojową obecnością) w dwunastu województwach. Jej dewiza: nie dać zarobić nikomu z zewnątrz. Żadnych pośredników. Wszystko przerabiają sami i sprzedają gotowe wyroby i przetwory. Nieustannie coś budują, rozbudowują, unowocześniają. Osłedzie siat procent dochodów przeznaczają na inwestycje.

W ich produkcji przemysłowej — jak sami mówią półzartem — brakuje tylko cementu, węgla i broni. Natomiast części do samolotów — i owszem. Oczywiście rolniczych. Większość, zresztą, ich produktów związana jest z rolnictwem. Od chłodziń poprzez materiały budowlane, sprzęt rolniczy, elektroniki wieńtrowe, aż po piękne kurtki, „butikowe” bluzki i wdzianka. Sami budują, niezależni prawie od nikogo. Mieszkanie w funkcjonalnym i este-

tycznych osiedlach zakładowych uzyskuje się po trzech(!) latach. Nowoczesny Dom Kultury „Azotów” zaczęli we wrześniu, a na Sylwestra już tam pito szampana.

Wszystko im się opłaca. Opłaca im się również myśleć bardzo konkretnie o zdrowej żywności. I to od podstaw. Od zmniejszenia nawożenia NPK z 230 do 190 kg/ha. W tym celu prowadzą hodowlę wylicznie typu ściółkowego i co trzeci rok nawożą własnym obornikiem. Zdarzało się, że w przejmowanym przez Kombinaty PGR-ze znajdowano marniejącą przymę obornika z 18 lat. Starczyłaby na 2000 ha — tymczasem PGR posiadał jedną piątą tej ziemi (400 ha).

Następny krok — to uruchomienie automatycznej linii do produkcji odżywek dla niemowląt. Warzywa dla tej linii uprawiane są z niewielką ilością chemicznego nawożenia i pestycydów. Mięso zaś pochodzi z własnych gospodarstw hodowlanych w Bieszczadach, gdzie skażenie środowiska jest znacznie mniejsze.

Aby jednak myśleć (i działać) w podobnej skali i perspektywie, trzeba być już na dosyć zaawansowanym etapie. W sumie sprowadza się to do postępu, ekonomicznego myślenia i gospodarskiego oka.

Chodząc wśród zadbanych budynków, kwiatów i trawników, trudno się zorientować (a także wyczuć), że te budynki to właśnie chlewnie. Tak to się prezentuje od zewnątrz.

z pola na talerz

Jak na tym tle wygląda kraj? Naukowcy (także obecni na tarnowskiej sesji) alarmują. Pod względem zanieczyszczeń i zdrowotnego zaniedbania jesteśmy w światowej czołówce.

Na przykład emisja zanieczyszczeń w roku 1986 w województwie katowickim wynosiła 419 tys. ton pyłów i ponad trzy razy tyle gazów (1510 tys. ton), w Krakowskim — 129 tys. ton (pyły) i prawie pięć razy więcej gazów (608 tys. ton), w Łomżyńskim — 1 tona, w Przemyskim — już dwie tony. Dla porównania — średnia krajowa — 23 tony pyłów i gazów na kilometr kwadratowy.

Większa część tych skażeń poprzez powietrze, wodę i glebę dostaje się do łańcucha pokarmowego człowieka. Dane te zebrała w swoim referacie prof. Halina Jurkowska. „Zacofanie” Łomżyńskiego, przy zdrowym myśleniu, może się stać szansą jego rozwoju. Tutaj właśnie mogłoby powstać prawdziwe zglebie zdrowej żywności.

Zanieczyszczenia bowiem to nie tylko przemysł, nadmiar pojazdów spalinowych (niebezpieczny ołów: źródłem zatrucia jest również samo rolnictwo. Nieracjonalne, nadmierne używanie nawozów, szczególnie azotowych oraz środków ochrony, prowadzi nie tylko do niebezpiecznego skażenia produktów, ale wcześniej czy później do spadku żyzności gleby.

Z przedstawionych referatów wpływa jeden wniosek: trzeba zwerifikować radośną wiarę w chemię oraz tradycyjne upodobania kulinarne. Więcej magnezu, żelaza, wapnia, cynku i witamin. „Nadszedł czas, abyśmy zapomnieli o białej mące, białym cukrze czy białej soli — nawołuje dr Roik. — Przywróćmy do łask to, czym się odżywiali nasi ojcowie: mąkę razową, melasę, ciemną sól”. Istnieje ogromna potrzeba nieustannej edukacji i popularyzacji problemów żywienia: od pola do talerza.

I rzecz nie w tym już teraz, czy chcemy zdrowsi umrzeć, ale czy w ogóle chcemy przetrwać.

Zarząd PSS „Społem” w Tarnowie czyni starania, by w każdym mieście wojewódzkim powstał sklep ze zdrową żywnością. Sklepy to z pewnością jedno z ważnych ogniw „między polem a talerzem”. Ale ideałem byłoby, gdyby przysmiotnik „zdrowa” stał się zbędny — jego synonimem powinna być sama żywność. Póki co, droga do tego daleka.

PAWEŁ BELDOWICZ





zmagania przyjaciół

Fot. Cabor Lőrinczy



CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Marcowy śnieg zaczął, oblepiał twarze, dostawał się za kołnierze. Zaklejał portrety, które prawie każdy trzymał na długim patyku. Podmuchy wiatru sprawiały, że mokre płatki wirowały stanowiąc coś na kształt zastłony odrealniającej otaczający mnie świat i tłum. Tworzyły go uczennice mojej szkoły, setki dziewczyn z klas najmłodszych, to znaczy ósmych, poprzez wszystkie cztery lata aż do mojego roku, do klasy maturalnej. Stałyśmy tak w zwartej wielkiej grupie od kilku godzin. Za nami, przed nami tkwili tak samo w bezruchu i oczekiwaniu inni ludzie. I pomimo że tłum liczył tysiące, nad tym wielkim zgromadzeniem unosiło się milczenie. Nie słychać było najmniejszego szumu cichych rozmów, które pomnożone przez tysiące, dziesiątki tysięcy rozmawiających tworzyłyby normalny dla takiej sytuacji szum, swoisty rwetes. Nic z tego. Tłum stał milczący, niechętny do jakiegokolwiek wymiany zdań. Twarze ponure, zacięte, smutne, przerażone. Różne. I patrząc na nie, różne z nich uczucia można było wyczytać.

Jakaś trudna do opisanego groza unosiła się nad nami. Patrzyłam na moje koleżanki. Z jednych twarzy nic nie potrafiłam odczytać. Inne, zalane łzami, mówiły wszystko... W pewnej chwili, stojąca niedaleko mnie Magda, klasowa prymuska, trzymając w jednej ręce portret Malenkowa na kij, drugą ocierając płynące strumieniem łzy, rozszlochany głosem powtarzała: „I co z tego, że ten wielki z nami pozostał? Co zrobimy bez Naszego Sternika?” ... Słowo „wielki” odnosiło się zapewne do postaci, której portret trzymała od kilku godzin...

Wreszcie ogromna kolumna drgnęła i wolnym krokiem ruszyliśmy w kierunku domu partii, przed którym na specjalnej trybunie stali przedstawiciele władz, partii, młodzieży, ludu Warszawy. Wszyscy na rękawach mieli czerwone opaski z wielkimi czarnymi wstążkami. Czerń i czerwień płynęły także nad manifestującym swój żal tłumem. Kirem przepasane było również monumentalne popiersie Wilkiego Zmarłego — dzieło jednego ze znanych plastyków.

Przed Mostem Poniatowskiego kolumna rozwiązała się, ludzie biegli każdy w swoją stronę.

W drodze do domu, nie wiem czemu, przypomniała mi się niedawna dyskusja o „Zmowie obojętnych”. Widzę rozognione twarze Anatola Sterna, Alicji, ojca, matki. Przyjaciół i współautorów „Jasieńskiego” — „Nuż w bżuchu”, reprezentant czegoś, co oficjalnie nie istniało, to znaczy futurizmu, Stern, obiecywał mi dokładnie opowiedzieć „Zmowę” — nie ukończoną powieść Jasieńskiego — w owym złowróżnym 1937 roku. Tak opowiedzieć. Była to bowiem jedyna moja droga do poznawania arcydzieł literatury — „Karnej kompanii”, prozy Bułhakowa, „Hemingwaya...”, „Opowiadaczami” — ojciec, matka, ich stale bywający u nas przyjaciele: Stawar, Toporowski, Biełkowski... Dozwoloną i jedynie zalecaną strawą intelektualną mojego pokolenia było „Szczęście” Pawlenki, „Obywateli” Brandysa, „Lewanty” Brauna czy dzieje rodziny Lebiódów...

Jak dobrze pamiętam tamten wieczór przy owalnym stole w pokoju mamy. Podniesioną temperaturę dyskusji, która szybko zamieniała się w nieskończenie długi ciąg moich pytań, na które nie zawsze istniały krótkie odpowiedzi. Dlaczego AK to zapłuty karzeł reakcji? Dlaczego w moim podręczniku Staff reprezentował „rozkład kultury burżuazyjnej”? Dlaczego skazano Tatara i Kirchmayera? Dlaczego Jana Cybisa usunięto z Akademii? Dlaczego nie wolno grać Szaniawskiego? Dlaczego Schiller nie może zrealizować wielkiego polskiego repertuaru romantycznego? Dlaczego?

Ojciec milczał, a mama — jak tyle razy wcześniej — powtarzała z uporem, że już niedługo wszystko się musi wyjaśnić, bo wszystko jest jakąś straszną pomyłką.

Pomyłka, myślałam, za którą ludzie płacili życiem.

I kiedy w tamto marcowe popołudnie wróciłam zmęczona do domu, nasza tradycyjnie jedzona w kuchni kolacja mijiała pod znakiem milczenia. Ja jedna paplałam opowiadając o szkolnym przemarszu, o łzach Magdy, o ogólnym nastroju rozpacz. Pytałam, czym to wytłu-

maczyć. Czy rzeczywiście ta śmierć oznacza koniec świata? Przecież napisano: „W piątek, 6 marca, przestało bić serce wodza ludzkości”.

Ojciec patrząc na mnie w jakiś dziwny sposób, poważnie, niemal surowo odpowiedział, że oczywiście nie oznacza ona końca świata, ale jest równoznaczna z końcem rewnej epoki. „Czy to dobrze, czy źle?” — nacierałam, chcąc dojść do jakiejś porządkującej konkluzji. „Tego nie wiem. Myślę, że muszą przyjść jakieś ważne wydarzenia, zmiany”. „Jakie zmiany, w czym?” — pytałam. — Przecież wszystko idzie tak dobrze. Wspaniale. Każdego dnia o tym czytamy. To co zmieniać, poprawiać?” A mama, patrząc mi w oczy, odpowiedziała krótko: „Wszystko”.

★

Przyszła Październik. Zaczął się czas witali nieobecnych. Zachłanego nadrabiania lektur — od Kierkegarda po Musilę, w tym „Balu mapekinów” czy „Zmowy obojętnych”. Jednak o losie autora nie wiedziałam nic ponad to, co wcześniej opowiadał Stern, Broniewski, Watt. Enigmatyczne „błędy i wypaczenia” starczyć miały za wszystko.

Aż przyszedł rok 1977, gorące moskiewskie lato i upragniony wyjazd do dachy Walentego Katajewa.

Z centrum Moskwy droga jest prosta. Nie sposób zabłądzić. Najpierw idąc przez leśne kompleksy szosa leningradzka i wołokołamska. Później ta prowadząca do miasta nad Nową zostaje za mną. Za chwilę to samo dzieje się z wołokołamską, na której Niemcy byli już tak blisko „zielonej Moskwy”. Skręcam w jeszcze bardziej zieloną, wąską drogę i po chwili wita mnie tablica z napisem: „Pieriedielkino”.

Ogród przy ogrodzie. W środku stoja niewidoczne dzięki gęstej zieleni drewniane, rozłożyste domy z przeszkłonymi werandami. Pod numerem 5 mieszka pisarz znany dobrze polskiemu czytelnikowi, autor przede wszystkim „Samotnego białego żagla”, Walenty Katajew.

Piliśmy doskonałą herbatę, rozmawialiśmy, a gdy wyjęłam swój niedodłączony magnetofon: „W tym domu nikt nigdy niczego nie nagrywał i nikt nigdy niczego nie nagra. Rozumiemy się?” Z wielką przykrością, choć rozbawiona tym kategorycznym oświadczeniem, schowałam swój magnetofon, żalując, że w gromadzonej od tylu lat prywatnym archiwum nagrań zabraknie rozmowy z 80-letnim Walentym Pietrowiczem.

Długa to była rozmowa. O historii i współczesności. O buncie na „Potiomkinie”, który Katajew przeżył jako ośmioletni chłopak. O Eisensteinie, Odessie i wówczas ostatniej powieści gospodarza — „Cmentarzu w Skulianach”. I o najnowszej, nad którą właśnie pracował i którą tak dziwnie nazwał „Z diamentów wieńców mój”. To z „Borysa Godunowa”. Maryna Mniszech w rozmowie ze służącą zastanawia się, co włożyć na spotkanie z Dymitrem. Odrzuca perły, zausznice, wybiera diadem z diamentów.

Gospodarz mówił: — Mówię w niej o Majakowskim i Jesieninie, o Bloku i Oleszy, o Zoszczenzie i Bułhakowie, Ilfie i Pietrowie, o Mandelsztamie i Pasternaku, o Asiejewie i Bablu i tylu, tylu innych... Będzie to opowieść o dziejach tego niezwykłego pokolenia, w którym i mnie przyszło żyć. Przyszłość znów splotę z czasem teraźniejszym. Chcę napisać książkę o rozpadzie pamięci. Tę ostatnią porównać można z życiem i umieraniem miast: w miejscach burzonych domów powstają nowe, a ich nowi właściciele nie wiedzą, co było tu dawniej... Tak jest i z pamięcią. Nie znosi pustki...

Co jeszcze zanotowałam? Kilka słów, którymi pisarz sportretował Mandelsztama, spacerującego po swym nędznym pokoiku na Twerkim Bulwarze, w oficynie domu, w którym kiedyś mieszkał Hercen. Mruży oczy i zadziera do góry swą małą wielbłądzią główkę... Wszedł już w ten wiek, kiedy człowiek zaczyna rozumieć daleką jeszcze, ale nieuchronnie zbliżającą się starość... Był znanym i uznanym poetą. Ale cała ta sława nie była w stanie zagwarantować przyzwoitego życia, czegoś lepszego niż ten nędzny pokój pozbawiony prawie mebli, niż przypadkowe jadanie w stołówkach, niż chleb z serem rozłożone na papierze...





Lomżyńscy zaopatrzeniowcy zachowują się tego lata tak, jakby wszyscy mieszkańcy grodu wyjechali w góry, na Mazury lub nad morze. Z artykułów spożywczych w ciągłej sprzedaży jest bowiem tylko chleb, masło, dżem i mleko. Sery i jaja — w zaniku, na „rzucane” ryby i wędliny wyczekuje się w kolejkach równie dokuczliwych jak u paly. Warzyw i owoców wprowadzić nie brakuje, lecz ich cena sprawia, że jarska kuchnia nie jest na naszą kieszeń. Na przeciętne spożycie samych owoców latem, czyli w sezonie, rodzina o modelu 2+2 musiałaby wydawać 25–30 tys. zł. Wydaje się, że na spożywających regularnie owoce wróćcie fiskus nałoży podatek od luksusu.

Nielatwe bywa życie obywateli, którzy chcą zaspokoić popyt rodaków na świeżą rybę. Działacze Polskiego Związku Wędkarskiego, lipcowym popołudniem przepływając obok wsi Brzostowo, spostrzegli czterech kłusowników ryb z koszami. Choć pozbawieni towarzystwa milicjanta (zajętego nadzorowaniem porządku w Jedwabnem, jak zwykle w drodze nieco bardziej niż zwykle zagrożonego), postanowili przeciwdziałać przestępstwu uzbrojeni jedynie w swe dokumenty strażników wodnych. Gdy kłusownicy zorientowali się w zamiarach strażników, jeden z nich zastaniwszy twarz ruszył biegiem przez bagna w kierunku wsi, a trzech pozostałych porzucając kosze, z workiem ryb pomylkali wzdłuż rzeki. Gonący spostrzegli, że wsiadają oni na dwa ciągniki i odjeżdżają w przeciwnych kierunkach. Ten, który obrał drogę „na skróty”, zdecydowanie nie miał szczęścia. Worek z rybami oddał ścigającym bez walki, gdyż w pośpiechu nie zauważył, że wóz, na który go rzucił, nie był przyczepiony do ciągnika. Chwilę potem zresztą pojazd znalazł się w rowie, a traktorzysta — w rękach strażników. Nie wypadło mu nic innego, jak poprosić o pomoc w wyciągnięciu ciągnika. Pozostali koledzy, najwidoczniej zreflektowani, zawrócili i... zadeklarowali strażnikom chęć odkupienia ryb po godznej cenie.

Od lipca wprowadzone zostały nowe ceny skupu płodów rolnych, a od sierpnia — nowe ceny ciągników. Wartość zwykłego Fergussona „podskoczyła” o ponad pół miliona złotych: z 2 100 do 2 680 tysięcy. Fergusson z kabiną typu „Komfort” kosztuje już 3 mln 700 tys. Notabene, najbardziej opłacalna jest produkcja tejże kabiny, gdyż wycenia się ją na 1 mln 20 tys. zł, czyli blisko jedną trzecią wartości całego pojazdu. Korzystnie wypada też porównanie jej kosztów z ceną fiata 126p.

Godzi się również przypomnieć, że druga w tym roku podwyżka cen skupu płodów rolnych wynika z faktu, iż lutowa nie pokryła skutków wzrostu kosztów utrzymania i gospodarowania w rolnictwie. Trudno powiedzieć, czy obecna (ok. 14,5 proc.) wyrówna zaszłości i nowe podwyżki (w przypadku Fergussona o około 25 proc.).

Ulica Mazowiecka w Zambrowie od półtora roku pozbawiona jest oświetlenia. Nie jest to bynajmniej zaulek; zlokalizowano przy niej dworzec PKS, bazę TOS i inne zakłady przemysłowe, posiada też dwa ruchliwe skrzyżowania, również bez oświetlenia. Narzekania i skargi obywateli pozostają bez echa. Czy po to budżet obciążono kosztem montowania słupów i lamp, by teraz oszczędzać na energii elektrycznej?

Nagrodę za najlepszy sygnał tygodnia — 500 zł — przyznajemy Czytelnikowi, który zwrócił uwagę na nowe ceny ciągników.



Co jeszcze? Jeszcze przejmujący szkic do portretu Bulhakowa, jego ostatnie spotkanie z Katajewem. „Jestem stary i ciężko chory” — powiedział Bulhakow. Powtarzał to bardzo często, ale wówczas istotnie był już śmiertelnie chory i jako lekarz doskonale o tym wiedział. Miał zmęczoną, ziemistą twarz. „Niestety, nie innego nie mogę zaproponować” — powiedział wyciągając zza okna butelkę zimnej wody. Stuknęli się i wypili po łyku... Z godnością znosił swą biedę. „Niedługo umrę — beznamiętnie powiedział. — I mogę nawet opisać, jak to się stanie. Będę leżał w trumnie i kiedy zaczną mnie znosić, ponieważ schody są zbyt wąskie, moją trumnę zaczną przekrecać i jej prawy róg uderzy w drzwi dramaturga Borysa Romaszowa, który mieszka piętro niżej.”

— Stało się jak przepowiedział — mówi jakby do siebie Katajew.

No i ten niezwykle szkic Borysa Pasternaka z ostatniego okresu jego życia, postarzałego, unikającego ludzi i dlatego widzianego zawsze w pewnym oddaleniu, na końcu grobli pieriedielkinowskiego stawu. Ubrany w czarny, zimowy płaszcz z karakulowym kołnierzem, w spiczastą,

Nie przestaję myśleć o losie poety, gdy staje nad jego samotnym grobem w Pieriedielkinie — wzruszona i poruszona do głębi. Dlaczego w tym właśnie miejscu przypomniał mi się film, słiczna, tak bardzo rosyjska Lara Julii Christie. I muzyka Jeana Michela Jarre'a. I cudowna poezja — najpiękniejszy rozdział powieści — zeszyt „samizdatu”, który z podpisem pisarza chronię jak największy skarb...

Myślę także o tym nowym pokoleniu „przeklętych” — „maudits”, którym oficjalnie zabrano czytelników wierząc, że raz wydany wyrok przekreśli ich dzieło na zawsze. Jakże nieludzkie są takie decyzje i jak, na szczęście, rozmiągają się z życiem.

Przed wyjazdem zadałam memu gospodarzowi jeszcze jedno pytanie. O Brunona Jasieńskiego. Katajew spojrzał na mnie z pewnym zaskoczeniem i wskazując palcem kciuka powiedział: „Zabrali go z tej willi. To dom Kazakiewicza”. Milknie i wiem, że niczego więcej z niego nie wydobyję.

Niewiele wówczas spotkanych ludzi chętnie wdawało się ze mną w rozmowy na ten tragiczny temat. Nieprzypadkiem dziesięć lat później, w roku 1987, znakomity pisarz



także karakulową, czapkę, stoi odwrócony plecami do zimnego jesienno-wiatru, który niesie srebrzyste liście łozin.

Z daleka przypominał strączek czarnego pieprzu. Cały był samotnością, oczekiwaniem...

I jeszcze jeden szkic. Borys Pasternak stoi przed swoim domem, na polu kartofli. Długie buty, spodnie podtrzymywane przez szeroki, oficerski, skórzany pas, koszula z podwiniętymi rękawami. Nogę oparł na łopacie, którą przekopuje gliniastą ziemię. Ten widok odbiega od wyobrażeń o wytwornym poecie. Pasternak w zabłoconych butach i z łopata w ogorzalych dłoniach sprawia wrażenie przebranego. Gra jakąś rolę. Może rolę wygnanego zmuszonego do zdobywania chleba powszedniego trudem rąk własnych.

Pytam o pogrzeb, ale Walenty Pietrowicz odpowiada unikami. Właściwie nie podejmuje tematu. Podobnie, gdy wracam do owego głośnego na całym świecie potępienia Pasternaka przez przyjaźniół-pisarzy za druk „Żywaga” za granicą. Za Nobla. Katajew nie chce o tym mówić. Rozumiem go, jestem obca. Z obcymi nie rozmawia się o takie tematy.

Damił Granin, nazwie temten okres brutalnie ale prawdziwie jako „beriowszczyznę”.

*

„Ślepe gliniane lepianki obstąpiły drogę jak milczący żebracy. Lepianki nie miały ani okien, ani kominków, wąski otwór wywiercony w płaskich glinianych dachach przypominał raczej dziurę w skarbonce, przez którą miłosierny Allah wrzuca prawowiernym dziurawą monetą swej łaski. Nędzny wygląd mieszkań nie świadczył o hojności Wszechmogącego. Rozrzucone wśród zieleni białe, parterowe domy typu europejskiego świadczyły o tym, że powstaje tu miasto przelające glinianą skorupę kiszłaku.”

Ten kiszłak nazywał się Duszanbe, co po polsku znaczy „Dwa dni po sobocie”, czyli poniedziałek. Autorem cytowanego opisu jest Bruno Jasieński. Tak zobaczył to powstające dopiero miasto i taki opis zostawił na kartach swej, pisanej także w Duszanbe, powieści „Człowiek zmienia skórę”. Jednym z jej bohaterów jest znany tu i ceniony poeta Mirsaid Mirszakar.

To dzięki niemu wiem aż tyle — aż? — o ostatnim okresie życia polskiego pisarza. Wsłuchuję się teraz

w nagraniu długiej z nim rozmowy i wylawiam sprawy najważniejsze.

„Miałem osiemnaście lat — wspomina Mirszakar — gdy do Duszanbe zjechała jedna z komisji Kominternu. Byli w niej i Polacy: Tomasz Dąbał i Bruno. Dąbał, od 1923 roku żyjący w Związku Radzieckim, sekretarz Komisji Rolniczej w Międzynarodówce Komunistycznej, chciał przede wszystkim poznać warunki życia tadżyckiego chłopca A Jasieńskiego? Od razu mi przypadł do serca. Wypytywał o moje losy, opowiadał o sobie. To, na przykład, dzięki niemu poznałem Paryż... Przyjechał do nas zobaczyć największą budowę radziecką, powstającą w dawnej kolonii carskiej. Jeździliśmy cały miesiąc. Mieszkaliśmy z robotnikami budującymi tam i elektrownię na Wachsze. Wyjeżdżał i wracał. Któregoś razu patrzył: idzie ktoś znajomy, ale w okularach. I nagle wyciąga rękę, ścisną mnie, wypytuje, co porabiam. To Bruno. I jeszcze woła zachwycony, że wszystko, co mu opowiadałem o Pamirze, o własnych przygodach — wszędzieśtu trafi do książki. I także kamienna gwiazdka, którą mu wtedy w górach podarowałem...”

I znów nastąpiła wyprawa w góry, w nadgraniczny rejon Kalaj Chumb. Potem robotnikom na Wachsze czytał napisane już fragmenty powieści o nich i o tym, jak zmieniać będą Głodny Step w rajski ogród. Nikt w to nie wierzył: bawelne i ogrody na jałowej ziemi uważano wtedy za fantastykę, której nie wymyśliłby sam Wells...

„Był typem intelektualisty — mówi Mirszakar. — Ale nie obnosił się ze swą wiedzą i mądrościami. Z każdym, z najprostszym robotnikiem umiał znaleźć wspólny język. Starszyzna ceniła go i szanowała. Zachowałem go w pamięci jako człowieka o gorącym sercu, niepospolitym talencie, ogromnej szlachetności. Wiem, że wśród nas, pozornie obcych mu ludzi, czuł się dobrze...”

Pytam Mirszakara, w jaki sposób dowiedział się o aresztowaniu Jasieńskiego. „Takie wiadomości — słyszę — rozchodzą się szybko. Oskarżono go o nawiązanie kontaktów z angielskim wywiadem, a stało się to rzekomo wówczas, gdy przebywał w rejonie Kalaj Chumb. Bliskie serdeczne kontakty z Dąbałem, organizatorem Międzynarodówki Chłopskiej, aresztowanym przed Jasieńskim — były także istotnym punktem oskarżenia. Dąbał otrzymał najwyższy wyrok... Nigdy nie mogłem się pogodzić ze śmiercią Jasieńskiego” — mruczy jakby do siebie stary Tadżyk. A po chwili ciszy mówi coś niezwykle przejmującego: o spotkaniu Kazachu, na rękach którego skończył Bruno w czasie długiej wędrówki na miejsce 15-letniego zesłania. Przypadkowy świadek śmierci polskiego poety powtarzał tylko jedno zdanie, które nie schodziło z ust umierającego: „To jakaś straszna pomyłka, to nie może być prawda. Nie jestem zdrajcą... To jakaś straszna pomyłka...”

Później od Mirszakara dostałam ów migotliwy kamień z góry, która nosi imię autora „Zmowy obojętnych”. I dodał słowa: „To Bruno wrócił z łak zapomnienia. A przyjdzie jeszcze taki czas, że poznamy prawdę. Bo prawdy nie można ukryć. Ten kamień będzie ci o tym przypominał...”

*

Dziś, po 35 latach, wiem, że jej odkrywanie zaczęło się w dniu tamtego marcowego zgromadzenia żałobnego.

*

Kiedy po powrocie do Warszawy napisałem reportaż o swojej wędrówce śladami Brunona Jasieńskiego, mój szef tekst przeczytał i zwrócił, twierdząc że jest to temat zbędny. Nie ma potrzeby wracać do sprawy raz na zawsze zamkniętej. Był XX Zjazd KPZR? Była rehabilitacja? Koniec. Kropka.

Tekst powędrował do kosza. Zostały mi jedynie notatki, nagrana opowieść tadżyckiego poety i ten migotliwy kamień, w którym zamknąłem coraz więcej minionych soraw. Teraz przyszła pora powrotów.

Jest maj 1940 roku, dziewiąty miesiąc okupacji. Trójka przyjaciół — Jurek, Edek i Staszek — w tajemnicy ucieka z domu z zamiarem przedarcia się na Węgry. Mają po 19 lat. Wskutek zdrady zamiast za granicę trafiają do więzienia w Nowym Sączu, potem Tarnowie, stąd do Oświęcimia. Jurek otrzymuje nr 243...

W listopadzie umiera Edek. Śmierć stała się już czymś tak zwyczajnym, że współwięźniów pracujących w obozowym szpitalu mówi: **wykładował**.

W kwietniu 1941 roku do obozu koło Hamburga wywieziony został Staszek.

Jerzy, więzień pierwszego oświęcimskiego transportu, „rolwaga” wozi trupy do krematorium, parokrotnie stoi w szeregu przeznaczonym do „wybiórki” na śmierć głodową w odwet za ucieczkę więźnia, dwukrotnie przechodzi krwawą biegunkę. I wbrew „naturze” Oświęcimia — żyje.

Nadchodzi rok 1943. Jerzy Bielecki znalazł się w komandzie pracującym w magazynach zbożowych. Tu poznaje piękną Żydówkę z Łomży, Cylę Cybalską. Jej ojciec był przed wojną właścicielem młyna. Po wejściu Niemców do Łomży cała rodzina znalazła się w getcie, potem w Oświęcimiu. Matka Cyli i jej siostra od razu skierowane zostały do gazu, ojciec i dwaj bracia przeżyli w obozie tylko parę dni. Między Jurkiem a Cylą rodzi się wielka miłość. Jurek pomaga dziewczynie jak może; jest mu o tyle łatwiej, że szef komanda, esesman Pomplun, mianował go kapo na miejsce wiecznie pijanego Karla.



BRAWUROWA UCIECZKA

Dziewczeta od reperacji worków pełniły swe obowiązki ku zadowoleniu naszych esesmańskich szefów i chłopaków z naszego komanda. Worki zawsze na czas dostarczane były do eksploatacji, a nasi chłopcy, oczywiście niektórzy, od czasu do czasu inkasowali całusa.

Zima z oporem, ale systematycznie zaczęła ustępować zbliżającej się wiosnie. Czuło się już w powietrzu, że lada dzień wybuchnie z całą swą wiosenną mocą, obsypując różnobarwnym kwieciami budzący się do życia świat. W tej nadchodzącej wiosnie wszyscy oczekiwali nowych, pomyślnych dla nas, więźniów, wydarzeń. Nawet członkowie SS, między innymi nasi szefowie, często wyrażali opinie, że rok czterdziesty czwarty zmieni zupełnie obecną sytuację w Europie. Wszystkie niepowodzenia na „Ostfroncie” wskazywały wyraźnie, że koniec Trzeciej Rzeszy jest już naprawdę bliski. Ale dla nas, Haftlingów, ważne było to, aby przeżyć to wszystko i wynieść z tej opresji życie. Dla mnie przerażającą wizją była świadomość, że w ostatnich dniach wojny Cyla może zostać zniszczona tak, jak zginęło tyle setek tysięcy Żydów, zabijanych bez przerwy od lat w gazowych komorach Oświęcimia.

Ciągle gnębiła mnie myśl o takim końcu mojej wielkiej miłości.

Pod koniec marca wiejący od południa ciepły wiatr, a potem całonocny deszcz, stopił resztę śniegu. Bezmurne dni i grzejące słońce sprawiły, że mokra ziemia szybko zaczęła schnąć, a okoliczne pola tu i tam zazieleniły się, skapo na razie, oziminami. Drzewa zaczęły puszczać pąki, pękające w ciepłych promieniach słońca, a między żółtymi młodej trawy ukazały się pierwsze stokrotki. Wraz z budzącym się na polach i łąkach coraz bardziej zielonym i bujnym życiem — rosła i natęczała się tęsknota za utraconym światem. Bezkresna dal, widziana z okien magazynu aż po horyzont, przyciągała jak magnes. Tam wszędzie, prócz zieleni i światła, rozciągała swój urok wolność.

Ta wiosna dała początek wielkiej tragedii narodu żydowskiego. Zaczęto masowo zwozić duże transporty do krematoriów Brzezinki z całej niemal Europy. Każdego tygodnia przybywały pociągi, których bydlęce wagony dostarczały do gazu tysiące nieświadomych swego losu ofiar. Kominy znów dymyły bez przerwy. Żydów zwożono z Grecji, z Włoch, Francji, Belgii, Holandii i innych zagarniętych przez hitlerowców krajów. Dotarła do nas pogłoska, że na Węgrzech przygotowuje się już olbrzymia akcja deportacyjna Żydów do Oświęcimia i że niedługo rozpocznie się tu piekło.

Choć docierały do mnie te wszystkie ponure wieści, nie odważyłem się dotąd dzielić się nimi z naszymi dziewczętami. Odizolowane w pewnym sensie od Brzezinki i jej makabrycznych wydarzeń, nie miały oczywiście pojęcia, co się tam właściwie dzieje. W Stabsge-



naude żyły sobie spokojnie; nie były głodne, pracowały pod dachem, było ich około sześćdziesiątki. Tylko „nasza” dziesiątka zatrudniona była u nas w Getreidespeicher. No i co najważniejsze — mieszkali na miejscu w Stabsgenaude, nie stały godzinami na apelach, nie były szykowane przez blokowe i kapo, a tym samym miały więcej szans na przetrwanie.

Już od pierwszych dni kwietnia zaczęły seryjnie nadchodzić do Brzezinki transporty — z ewakuowanego obozu koncentracyjnego na M. danku, przywożąc z sobą zatrważające wieści o masowym mordowaniu tam Żydów. Jak wiadomo, ewakuacja rozpoczęła się na skutek szybko zbliżającego się frontu i groźby odcięcia dróg przez ciągle atakujące wojska sowieńskie i polskie. Niektórzy ponoć słyszeli po nocach coraz to bliższe odgłosy armatnich dział, przypominające zbliżającą się burzę. Z początkiem maja gruchnęła po obozie wieść, że do Oświęcimia wrócił z Berlina były komendant SS-Obersturmbannführer Rudolf Höss, superspecjalista od masowego gazowania Żydów.

Podobno przybył ze specjalnymi uprawnieniami szefa SS — Himmlera, co rychło zaowocowało na wyższych szczeblach w obozowej hierarchii. I tak dotychczasowy komendant Oświęcimia A. Liebehenschel, za którego bytności zlagodniał nieco kurs w traktowaniu więźniów — odszedł na inne stanowisko, a jego miejsce zajął nowy komendant Richard Baer. W Brzezince też nastąpiła zmiana na tymże stanowisku.

Wszystko to wskazywało na ewidentną reorganizację działalności tego molocho śmierci, jakim był od początku zespół Oświęcim-Birkenau oraz dziesiątki podległych podobozów.

Höss miał tu władzę nadrzędną i wkrótce, jak szeptano wśród wtaimniczonych, miał zająć się akcją likwidacji w krematoriach Brzezinki wszystkich Żydów, żyjących jeszcze na terytorium zaprzyjaźnionych Węgier. Nie trzeba było długo czekać, bo już w połowie maja nadeszły pierwsze transporty z tego kraju. Piekło rozszalało się na całego, bo w przeciągu zaledwie dziesięciu dni zagazowano i spalono blisko 100 tysięcy przywiezionych

tu ofiar. Do gazu szły całe transporty: mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, wszyscy ginęli bez wyjątku; nielicznych tylko, młodych i silnych, zabierano niekiedy do obozu dla uzupełnienia obfitych wciąż „ubytków”.

Z okien budynku naszych magazynów oglądałem codziennie plujące ogniem kominy krematoriów i czarne dymy nad Birkenau.

Krematoria nie nadążały już ze spalaniem zwłok, co zmusiło organizatorów tej obłędnej akcji niszczenia ludzi do urządzania na skraju pobliskiego lasu olbrzymich ognisk spaleniskowych, które bez przerwy płonęły we dnie i w nocy. Dymy snuły się nisko nad ziemią, rozciągając po okolicy trupi odór palonych ludzkich ciał.

Więźniowie Brzezinki i Oświęcimia z trwogą wyczekiwali na dalszy rozwój wypadków, poddając się już bez oporu wcieleniu do transportów coraz to częściej wywożonych do obozów, znajdujących się na terenie Rzeszy.

Powszechnie krążyły już pogłoski, że po zakończeniu z Żydami, Höss zabierze się do reszty pozostałych przy życiu więźniów. Dochodziły też do nas wieści, że wschodni front zbliża się do osi Wisły i Bugu i że po likwidacji Majdanka, przyjdzie kolej na zrownanie z ziemią obozu oświęcimskiego.

Wszystkie te niebówne przepowiednie napawały rezygnacją i lękiem. Zaczęły mnożyć się próby ucieczek i samobójstwa zdesperowanych więźniów. Coraz częściej odbywały się znowu tragiczne egzekucje schwytanych uciekinierów, wiszanych publicznie na placu a-ełowym czy rozstrzeliwanych bez świadków na podwórku jedenastego bloku.

Makabryczny sen miałem tej nocy.

Sniła mi się Cyla, prowadzona w grupie innych kobiet do gazu. Bezradnie patrzyłem zza drutów krematorium, w żaden sposób nie mogąc pomóc ukochanej. Z rozpaczą, krzycząc we śnie, obudziłem się mokry od potu. Do rana nie zasnąłem. Myślałem o tym przykrym śnie i jego sensie dla naszej wspólnej przyszłości. Po przybyciu do magazynów, nerwowo oczekiwałem na przyjście naprawiaczek worków. Z nieukrywana radością stwierdziłem obecność Cyli w grupie przybyłych do pracy dziewcząt. Niestety, podświadoma obawa niekała mnie bezustannie. Ponieważ tego dnia przed południem ruch w magazynach był duży — przyjeżdżały bowiem po „futter” rolwagi z różnych komand — odczekałem do przerwy obiadowej, aby porozmawiać z dziewczyną mego serca. Nie miałem wtedy wątpliwości, o czym zresztą wszyscy w komandzie już wiedzieli, że Cyla z każdym dniem staje się mi bardziej bliską i drogą. Nawet dla naszych esesmanów było to oczywiste. Gdy po zjedzeniu południowego posiłku wyszła z workami do waskiego przedśionka, objąłem ją, dłużej niż zwykle tuląc do siebie w ramionach.

— Jurek, puść już, bo mnie udusi — zażartowała.

Gdy uczyniłem to, ona z kolei przylgnęła do mnie i popatrzyła mi w oczy.

— Słyszałeś o gazowaniach w Brzezince? — zaskoczyła mnie tym pytaniem.

— Tak, coś słyszałem — starałem się zminimalizować odpowiedź.

— To pewnie wiesz, że codziennie tysiącami giną tam Żydzi?

— Niestety, wiem, Cylutko. — Nie stać mnie było na próbę zatajenia prawdy.

Cyla stała się teraz bardzo niepokojna, pobiadała nieco i drżącą ręką odrzucała opadłe jej na czoło kruczoczarne kędziory. — Powiedz. Co z nami będzie, Jurku? — spytała cichym głosem, w którym wyczuwało się trwogę i niepokój.

Gorączkowo szukałem jakichkolwiek słów pocieszenia, ale nie rozsądnego nie przychodziło mi do głowy.

Nagle rozpalila się w mej wyobraźni szaleńcza wizja.

Dwukrotnie otwierałem usta, nim wyjąłem ją głośno: — Pytasz, co z nami będzie? Cylutko, ja cię stąd wyrwę!

Rodzina Cyli mieszkała w kamienicy Opechowskich przy Rynku Zambruskim (obecnie: pl. Niepodległości).

JERZY BIELECKI



Pisałem niedawno o mini-galerii fotograficznej w pracowni reklam Wojciecha Kalinowskiego. Z przyjemnością donoszę, że owa galerijka funkcjonuje nadal! Tym razem prezentuje w niej swoje fotografie jeden z najmłodszych fotoamatorów łomżyńskich — Jarosław Dolinkiewicz.

zbyt równego poziomu technicznego tych prac. Niektóre zdjęcia są zbyt szare, brak im mocnej czerni, a w tej technice jest jednak ważne, aby na powiększeniu były wszystkie tony: od bieli aż do głębokiej, czystej czerni. Jest to jednak usterka techniczna dość łatwa do usunięcia.

zjawy z oparów mgły, niematerialnej, i dolnej, wrosniętej w ziemię, rozpaczliwie podnoszącej się w jakimś niemym geście. Wyraźnie wyczuwa się tu jakiś dramat, który pozostanie nie rozpoznany do końca tajemnicą. Może tam właśnie odprawiają swoje obrzędy czarownicy z „Makbeta” Szekspira. A może.

ZOBACZYĆ LAS



Cykl jego zdjęć, opracowanych w technice czystego bromu, przedstawia mglisty, nastrojowo-tajemniczy leśny pejzaż. Młody fotograf potrafił z dużą dyscypliną formalną ukazać swoje widzenie lasu. Z jego oszczędnych kompozycyjnie fotografii emanuje zauroczenie odwieczną tajemnicą leśnych uroczysk. Mamy tu do czynienia z twórczością interesującą, pomimo nie-

Najlepsze zdjęcie tej ekspozycji — reproduktowane obok — naładowane jest w sposób szczególny atawistycznym niemal niepokojem, ale jest to niepokój, który nie odpycha, lecz przyciąga widza. Jest tu tajemnica, którą chciałoby się przeniknąć nawet za cenę dreszczyku emocji. Kompozycję tego obrazu oparł autor na dwóch mocnych brzo-

ten las-zjawy to las Birnam wyznaczający kres panowania króla?

„Nie bój się, póki las Birnam nie przyjdzie
Pod mury twego Dunzynamu. Otóż
Zbliża się jakiś las...”

ZBIGNIEW CIBOROWSKI
Fot. JAROSŁAW DOLINKIEWICZ

Książka Barbary Makowskiej-Witkowskiej jest na polskim rynku wydarzeniem niezwykłym. Jeszcze w czasie przygotowywania do druku w wydawnictwie „Iskry” sceptycy powątpiewali, czy w ogóle dojdzie do jej wydania. Chodzi o to, że — chyba po raz pierwszy tak bezceremonialnie — literatura faktu wkroczyła w sferę dotychczas chronioną: relację obywatela — organa ścigania, pokazując przy okazji, jak słabą pozycję ma w naszym systemie prawnym oskarżony i jego obrońca. Przypomnijmy, o co chodzi.

Autorka, lekarka warszawskiego pogotowia, była bohaterką (a raczej ofiarą) głośnego w latach 1983–86 procesu. Pijak, przewieziony karetką do szpitala, oskarżył jej załogę o napad i kradzież. Wszyscy zostali aresztowani i oskarżeni o rozbój z paragrafu 210. Doktor Makowska przesiedziała w areszcie 13 miesięcy, zanim sąd uwolnił ją i jej kolegów od tego absurdalnego zarzutu. Po odzyskaniu wolności autorka oskarżyła prokuraturę o niesłuszne aresztowanie i sprawę wygrała, choć postępowanie trwało prawie dwa lata i obfitowało w dziwne wydarzenia.

Swoją drogą pani Barbara musi być niezwykle silną kobietą, skoro potrafiła to wszystko wytrzymać. Wyobraźmy sobie, że wczesnym rankiem przychodzi do naszego domu trzech funkcyjna-

riuszy, przeprowadzają rewizję i zabierają nas do Komendy, gdzie po niczego nie wyjaśniającym przesłuchaniu zatrzymują w areszcie. Siedzimy całą noc w celi i myślimy, o co też może chodzić. Sytuacja jakby żywcem przeniesiona z powieści Kafki.

ZAMIAST RECENZJI

paragraf 210

Następnego dnia, po przeczytaniu aktu oskarżenia, doktor Makowska sądziła, że to monstrualne nieporozumienie szybko się wyjaśni. Niestety, posiedziła jeszcze trzy miesiące, zanim zobaczyła adwokata; w tym czasie doszły do niej echa nagonki, zorganizowanej przez środki masowego przekazu z „Dziennikiem Telewizyjnym” na czele. Prasa wydała wyrok na długo przed procesem. Później też nie było lekko: rozprawy odraczane z byle powodu, sędziowie głusi na argumenty za zwolnieniem z aresztu, bezradni adwokaci, którzy nie mogą ustalić, dlaczego termin rozprawy przesuwany jest

w nieskończoność. W końcu sprawiedliwość zatriumfowała, co nie było dla nikogo zaskoczeniem: akt oskarżenia od początku do końca nie trzymał się kupy.

Po zapadnięciu prawomocnego wyroku uniewinniającego (oskarżyciel wykorzystał wszystkie możliwości rewizji) autorka wytoczyła proces prokuraturze. Przypominało to walkę Dawida z Goliatem: z jednej strony potężna instytucja, uchodząca za niepokonaną, z drugiej zaś samotna kobieta, zmęczona poprzednim procesem i więzieniem. Goliat wykorzystywał swoją przewagę, jak tylko mógł. W końcu Sąd Najwyższy przyznał Barbarze Makowskiej odszkodowanie. W ten sposób prawnicy otrzymali pouczający precedens, a czytelnicy — książkę naruszającą kolejne tabu.

Na koniec wypada pochwalić się, że „Kontakty” jako jedyne pismo w kraju drukowały część książki doktor Makowskiej. Nie obeszło się przy tym bez pewnych kłopotów i tłumaczeń. Warto przypomnieć, iż podstawowa część książki — prawie dwie trzecie — opowiada o pracy pogotowia ratunkowego i jest równie interesująca, jak opis procesu i pobytu w więzieniu.

JAN ONISZCZUK

Barbara Makowska-Witkowska — „Wezwanie” „Iskry”. Warszawa 1988 r.

(32)

RAJMUND SZOTT



— To raczej widać — powiedział Cyzio nakładając sobie na talerz sałatę.

— Pan natomiast pochodzi niewątpliwie z samego centrum Warszawy — Kuźmicki skłonił głowę przed Cyziem jeszcze niżej niż przed panią domu. — Z ulicy Rutkowskiego, czy może trochę dalej?

Danka parsknęła śmiechem, co rozładowało nieco napiętą sytuację.

— Ze Zbyszkim lepiej nie zaczynać — powiedziała. — W razie czego może cię wsadzić za kratki. Jest milicjantem — do-dała widząc zdumioną twarz matki.

— Jestem oficerem milicji — sprostował Kuźmicki. — I za kraty nikogo nie wsadzam, to robi sąd. Ja tylko ścigam przestępców i zbieram dowody na to, że są przestępcami.

— No, no — w głosie inżyniera tym razem dało się słyszeć nutkę jak gdyby podziwu zmieszanego z lękiem i szacunkiem jednocześnie. Kuźmicki nie zwrócił na to uwagi, bo zdążył się już przyzwyczaić do takiej reakcji ludzi, którzy dowiadywali się niespodziewanie o jego zawodzie.

— Z chuligaństwem trzeba walczyć — stwierdziła pani Hanna — Pozamykałabym tych wszystkich z nastroszonymi włosami. Łażą po ulicach i ludzi straszą swoim wyglądem.

— Zbyszek nie zajmuje się takimi drobiazgami, mamusiu — powiedziała Danka. — On jest od spraw o wiele ważniejszych. Ściga morderców i innych niebezpiecznych bandytów.

— Tajny detektyw, co? — zachrypiał Cyzio drewnianym altmem.

— Coś w tym rodzaju — pogodnie zgodził się Kuźmicki, który obiecał sobie, że nie da się sprowokować.

— To musi być fascynująca praca, uwielbiam powieści kryminalne! — gospodyni całkiem serio zapaliła się do tematu. — Czy jednak w Łomży może dziać się coś interesującego w tej materii? To przecież tak spokojne miasto. Proszę nam powiedzieć, nad czym pan ostatnio pracuje?

— Ależ mamusiu!

— Tak, tak, rozumiem. Oczywiście nie chce, żeby zdradzał pan jakieś tajemnice, ale tak ogólnie chyba można coś powiedzieć.

— Oczywiście i nawet nie tak ogólnie — odparł Kuźmicki ze swadą. — Na przykład, poszukujemy ostatnio czerwonego poloneza, którego właściciel lub użytkownik zamieszany jest w pewną aferę.

— Chodzi o samochód?

— O samochód i o kierowcę, proszę pani.

— O Boże, przecież my także mamy czerwonego poloneza!

— Radzę ci, Hanno, nie mów bez obecności swojego adwokata — zażartował Cyzio, ale inżynier Groman nie poznał się na żarcie.

— Tatusiu, mów całą prawdę, nie masz żadnych powodów, żeby cokolwiek ukrywać — głos dziewczyny stał się oficjalnie szeptem. — Wspominałam kiedyś porucznikowi, że moim wozem jeździ również Rościszlaw.

— Ależ dziecko, co ty mówisz! — twarz inżyniera przybrała barwę koralu gulgotącego indora. — W tym roku Cyzio ani razu nie usiadł za kierownicę, co ci się pomieszało!

— Nie usiadł?

— Dość tego! — ostro wkroczyła pani Hanna. — Nie podoba mi się to wszystko. Przychodzi pan z pierwszą wizytą do obcych ludzi, panie poruczniku, z nie zapowiedzianą wizytą...

— Ja go zaprosiłam — Danka wpadła między w słowa. — Ale potem zapomniałam wam o tym powiedzieć. Przepraszam.

— To niczego nie zmienia — mamuska odęła usta. — Faktem jest, że ta wizyta wywołała w naszej rodzinie brzydki ferment.

— Przesłuchanie w trakcie obiadu. Niezły kryminał, nie ma co gadać. He, he — zarechotał Cyzio.

— Bardzo mi przykro, że tak to wypadło — Kuźmicki wstał z krzesła. — Nie miałem zamiaru prowadzić żadnego dochodzenia. Po prostu pani Hanna zaczęła mówić o swoim zamiłowaniu do kryminalów... Chyba już pójdę. Dziękuję za obiad.

— Niech pan się nie wygłupia, młodzieńcze — inżynier po raz drugi już w tym dniu przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza.

— W moim domu goście mają specjalne prawa. Na wety przejdźmy do altany. Danusiu, zaprowadź pana.

— „Wety” to deser w języku moich sta-

11

KONTAKTY
1988-08-07

lektura z pierwszej ręki



CIĄG DALSZY NA STR 12

rych — wyjaśniła Danka prowadząc Kuźmickiego do ogrodu. — Pewnie napiszesz protokół z obiadu, więc sądzę, że powinienś wiedzieć, co to oznacza.

— Dziękuję za objaśnienie — odparł porucznik ze sztywnym półuśmiechem. — Wprawdzie czytałem parę książek o drobno-mieszcząńskiej szlachcie i wiem, co to są wety, ale nauki nigdy za dużo. Tak przynajmniej powiadają.

— Zachowałeś się okropnie — Gromadówna wychodziła z założenia, że najlepszym sposobem obrony jest zawsze atak. — Czy musiałeś wyskakiwać z tym zakichanym samochodem akurat dzisiaj? Chyba nie mogłeś znaleźć mniej stosownego miejsca i czasu.

Kuźmicki nie odpowiedział. W gruncie rzeczy przyszedł właśnie tylko po to, żeby porozmawiać o czerwonym polonezie. Danka interesowała go w dalszym ciągu, może nawet bardziej niż na początku, ale odkąd nabrał przeświadczenia, że jest kochanką Andruskiego, zaczął w siebie wmawiać, że nie go ona nie obchodzi. Nawiasem mówiąc im częściej i dłużej wmawiał to sobie, tym dłużej i częściej o niej myślał, dzięki czemu ów z pozoru mało znaczący epizod damsko-męski zaczął urastać do rangi problemu.

A myślał o niej również w trakcie godzin spędzanych na żmudnej dźbaninie w aktach personalnych właścicieli czerwonych polonezów garażujących w Łomży, którą to dźbaninę nazywa się czasem prześwietlaniem sylwetek. Praca ta była rzeczywiście żmudna i tym nudniejsza, że w gruncie rzeczy wykonywał już ją po raz drugi. Podążając tropem Szczurzyńskiego można było inne ślady traktować ulgowo, trzymając je niejako w rezerwie. Teraz, po śmierci tego człowieka, czerwony polonez stawał się na powrót jedynym punktem zacpiecia.

Na wniosek Andruskiego, który na kilka dni wyjechał do Warszawy w sobie tylko znanym celu, Kuźmicki z kapitanem Kurzawką zajęli się badaniem przeszłości i teraźniejszości blisko pięćdziesięciu łomżyńiaków.

Po trzech dniach takiej pracy porucznik doszedł do wniosku, że się absolutnie do niej nie nadaje. Zbyt łatwo zapalał się do czegoś i szybko tracił wiarę w sens swoich działań, o co, nawiasem mówiąc, było szalenie łatwo. Badając, na przykład, dochody posiadaczy czerwonych polonezów stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że co najmniej połowa z nich nie umiałaby wyjaśnić, skąd wzięła pieniądze na takie auto. „Żeby ja był tym gagatkiem, a to przecież facet sprytny jak wszyscy diabli, nie chwaliłbym się bogactwem, gdybym w każdej chwili nie mógł udowodnić, że zdobyłem je w sposób legalny — myślał Kuźmicki. — Tylko idiota postąpiłby inaczej. Może zatem należy szukać przestępcy wśród statecznych obywateli, powszechnie szanowanych i cenionych, o dochodach szczególnie wysokich i całkowicie udokumentowanych?”

A przecież istniała także inna możliwość. Ten samochód mógł być zarejestrowany w innym mieście, albo na cudze nazwisko, albo i jedno, i drugie jednocześnie. Prześwietlanie Bogu ducha winnych właścicieli czerwonych polonezów byłoby wówczas niedopuszczalną stratą czasu, którego pozostało niewiele. Zbrodniarz zlikwidował przecież Szczurzyńskiego nie dlatego, że ten ukradł mu kilka gramów heroiny, ale dlatego, że poszukiwała go milicja. Zatem wie już, że jego siatka została zdemaskowana i teraz z całą pewnością pośpiesznie zaciera ślady.

Kapitan Kurzawka nie miał takich wątpliwości, a przynajmniej ich nie okazywał. Z przypadających mu w drodze losowego podziału teczek personalnych wyselekcjonował pięć nazwisk i skoncentrował się na ich właścicielach. Byli w tej piątce lekarz, technik dentystryczny, adwokat i dwaj prywatni rzemieślnicy. Wszyscy oni co najmniej po trzy razy jeździli do Francji, w której przebywali po dwa miesiące lub nawet dłużej. I to właśnie wydało się kapitanowi szczególnie podejrzane.

— Zwróć uwagę, że ci ludzie pracują i z wyjątkiem prywaciarzy żaden z nich nie ma prawa do dwóch miesięcy urlopu — powiedział, wskazując na pięć odłożonych na bok teczek. — Ciekawe, co ich tam zatrzymało i czym tłumaczyli swoim szefom tak długą nieobecność w pracy?

— O ile znam życie, nie nikomu nie musieli tłumaczyć — odparł Kuźmicki. — Można to sprawdzić, ale jestem prawie pewny, że wyjeżdżając brali urlopy bezpłatne.

— A co tak długo robili we Francji?

— Mogli zbierać winogrona, albo zmywać talerze w jakiejś knajpie.

— Lekarz z adwokatem też zmywali?

— A czemu nie? Żadna praca nie hańbi. — porucznik wygłosił tę sentencję z absolutną powagą. — Kapitan niedzisiejszy jakiś. Pan doktor więcej może zarobić przez miesiąc przy winobranii, niż przez pół roku we własnej pracy. Nie jest wykluczone, że wszyscy oni, może z wyjątkiem rzemieślników prywatnych, kupili swoje czerwone auta za zielone papierki przywiezione z Francji. To także można sprawdzić.

— A jednak muszę przyjrzeć im się bliżej — stwierdził Kurzawka stanowczo i na tym dyskusja została przerwana.

(Cdn.)

Paul McCartney, George Harrison i Yoko Ono wnieśli sprawę do sądu przeciwko wytwórni „Charly Records”, która chce wydać album „The Decca Sessions”. Do czasu wydania wyroku wytwórnia zobowiązała się nie wydawać płyt.

Peter Green — legendarny gitarzysta lat sześćdziesiątych, współtwórca zespołu „Fleetwood Mac” — wystąpił w telewizyjnym programie poświęconym historii tej grupy. Jest to pierwszy od wielu lat publiczny występ tego muzyka.

LP „The Joshua Tree” zespołu „U-2” nieustannie święci triumfy. Płyta przez przeszło rok nie schodziła z duńskich list przebojów i zdobyła w tym kraju tytuł „Platynowej płyty”. Ta sama płyta uzyskuje podobne wyróżnienia w Szwecji i w Norwegii.

Kylie Minoque — odtwórczyni przeboju tegorocznego lata „I Should Be So Lucky” — zdobyła za singel o tym samym tytule złotą płytę. Brytyjski rynek singlowy na sprzedaż 500 000 egzemplarzy.

rock serwis

zemplarzy w tak szybkim czasie musiał czekać bardzo długo.

George Michael musiał odwołać koncerty w Australii, ponieważ podczas gry w tenisa zwichnął sobie bark. Kontuzja ta była tylko pretekstem do podjęcia takiej decyzji, ponieważ piosenkarz miał już różne problemy ze zdrowiem podczas występów w Sztokholmie. Kłopoty ze strunami głosowymi Michaela rozczarowały

7-tysięczną widownię, która przysła oglądać idola.

Jimmy Page jeszcze tego lata zamierza nagrać swój solowy LP, przy którego realizacji pracować będą John Miles i Chris Farlowe.

24 września odbędzie się w Londynie impreza określana mianem „Największego koncertu świata”. Jean Michael Jarre zapowiedział w tym dniu występ dla 2 milionów widzów. Ma to być jeszcze lepsze widowisko niż miało miejsce w Houston w USA. Całe przedsięwzięcie będzie kosztować 5 mln funtów.

Stanisław Sojka, który dwa lata temu zadebiutował na rynku zachodnim, nagrał dla RCA nowy singel „Spirit of The West”. Płyta już ukazała się na rynku, powstała przy współpracy znanego kompozytora, Harolda Faltermeyera.

fan-club

REDAGUJE
KRZYSZTOF KURIANIK



CO SIĘ STAŁO

WHITNEY?

— Czy tourée po 40 miastach świata nie jest przedsięwzięciem zbyt męczącym?

— Może trochę, ale lubię takie wojaże i koncerty na żywo. Dwa miesiące takiej przygody to

dużo. Po wszystkim będę miała sporo czasu na pracę i odpocznę.

— Po zakończeniu tournée ponoć masz zagrać w filmie?

— To nie jest jeszcze takie pewne. Ostateczna decyzja jeszcze nie została podjęta, chociaż sam temat filmu jest bardzo ciekawy. Opowiada o biednej dziewczynie, która walczy i staje się gwiazdą.

— Ty jesteś już gwiazdą, czy nie masz czasem dosyć tej roli?

— Mam dosyć tego zgłębku wokół siebie, ale cóż zrobić, muszę się liczyć z tym, że wokół mnie kręci się zawsze wiele osób.

— A co się stało na koncercie w Londynie, na stadionie Wembley?

— Prasa, zwłaszcza angielska, pisała o mnie różne rzeczy, że jestem kapryśna i smarkata, że płakał przeze mnie Stevie Wonder. To nie do końca było tak, jak twierdzą dziennikarze. Na tym koncercie był przede wszystkim wielki bałagan. Zresztą, zostałam na Wembley zaproszona jako gwiazda, a wyszło na



„STAN ZWEZDA”

Narodziny tej grupy przypadają na 1983 rok, powstała jako jeden z wielu polskich zespołów poszukujących innej muzyki, niż prezentowana w rodzinnej telewizji i radiu. W tamtym czasie często koncertuje z „TZN Xenona”. W 1984 roku występuje w Jarocinie, ale bez powodzenia. Dwa lata później zespół zasia wokalista Jacek Mielczarek, który też staje się twórcą nowej orientacji zespołu — psychobilly. Ubiegłoroczny pobyt w Jarocinie daje już zespołowi 4 miej-

scę w konkursie publiczności i zmiany personalne w grupie. Nie zmienia to charakteru muzyki, dalej jest ona na wielkim luzie, z olbrzymią dawką energii i naturalności. Walorem muzyki „Stan Zvezdy” jest odwoływanie się do korzeni muzyki i przedstawianie ich w tak nowej formie, że wydaje się być muzyką niezwykle odkrywcą.

Obecnie w zespole grają: Jacek Mielczarek (voc.), Krzysztof Banasik (b.), Dariusz Korkosz (perc.), Andrzej Saganowski (g.).

Dziś kolejny letni przeboj. Tym razem polskie słowa znanej piosenki „Drop the Boy” („Zapomnij o małym chłopcu”), którą śpiewa trzech sympatycznych chłopaków z zespołu „Bros”.



„Zapomnij o małym chłopcu”

Suszę sobie włosy
Dodaję odrobinę żelu
Czytam wszystkie gazety
Lecz moja matka ciągle czyta
moją pocztę

Nie mam nic przeciw temu życiu
Lecz powiedz jeśli możesz
Kto decyduje, że jestem dorosły
I zamieniłem się w prawdziwego
mężczyznę

Zapomnij o małym chłopcu,
zapomnij o małym chłopcu
Jestem mężczyzną, tak jestem
lecz oni ciągle nazywają mnie
chłopcem

Jestem mężczyzną, tak jestem
I będę skakał z radości
Gdy oni zapomną o małym
chłopcu

Mam dość tej roli chłopca
Muszę zająć się innymi rzeczami
Chętnie zająłbym się polityką
A nie po raz kolejny szedł do
ZOO

Nie chcę roweru ani plastikowych
modeli

Ani aparatu na zębach
Chciałbym prowadzić Ferrari

I żyć zupełnie inaczej niż teraz

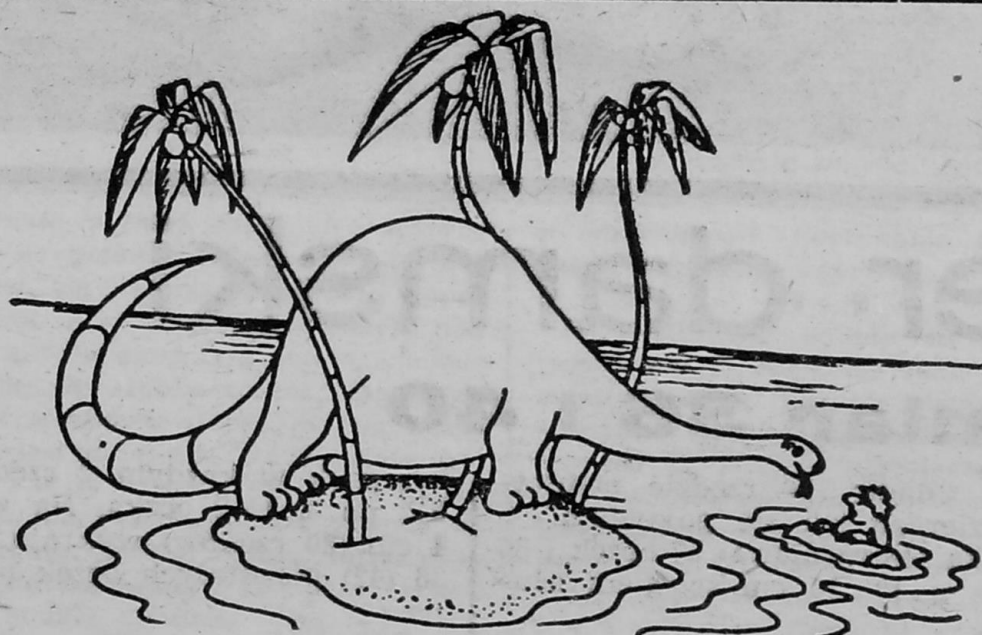
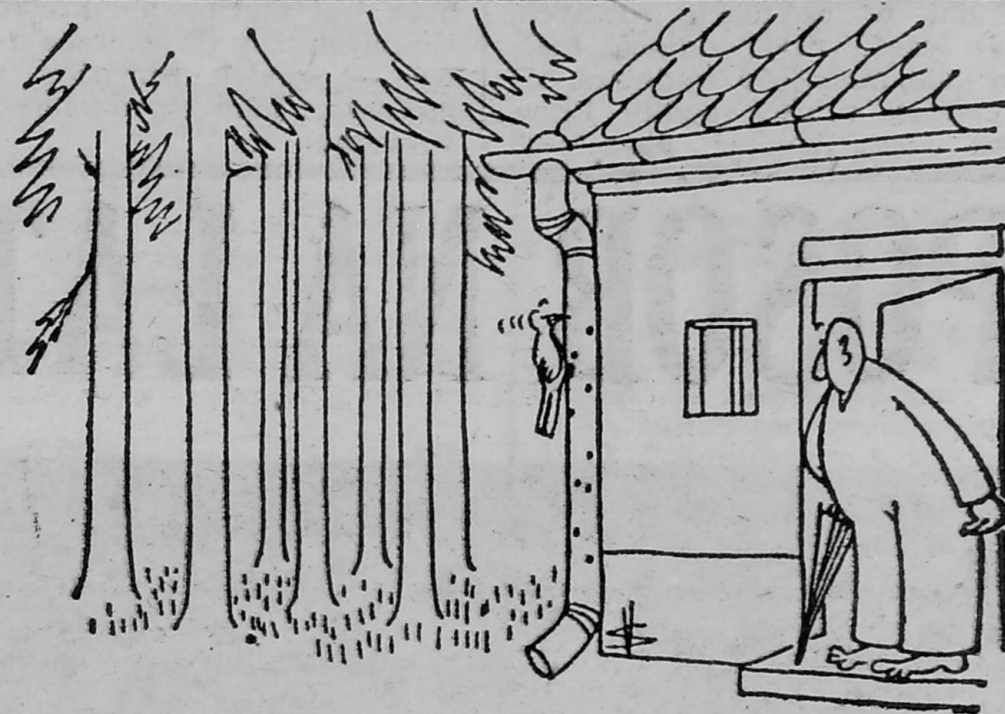
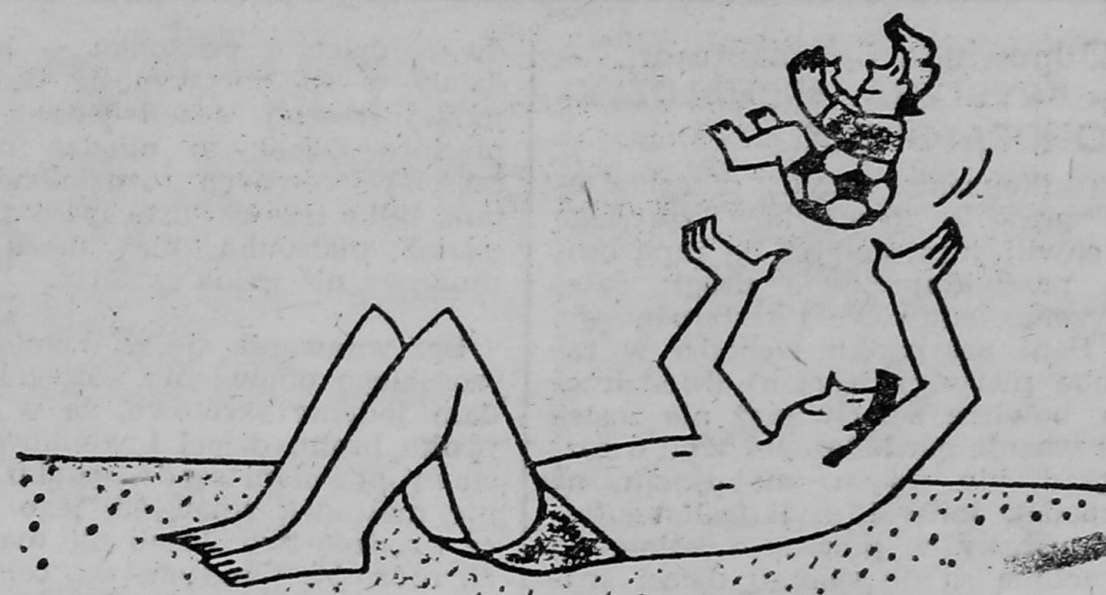
Zapomnij o chłopcu...
I będę skakał z radości.



KONTAKTY

TWOJA KARTA

- CIĄGLE NOWĄ I OTWARTĄ



„Dikobraz”

KRONIKA WYPADKÓW

Zanim minął półmetek wakacji, wody pochłonięły w Łomżyńskim 14 ofiar, w tym sześcioro dzieci. To powinno zaalarmować rodziców, gdyż w ub. roku nie utonęło żadne dziecko. Woda tego lata, szczególnie w jeziorach, jest bardzo ciepła, więc kąpiący się przebywają w niej długo. Czesem zbyt długo, gdyż osłabienie organizmu może dać znać o sobie w najmniej odpowiednim momencie.

Lipcowa seria utonięć zaczęła się na Jeziorze Toczyńskim, w którym utonęła 17-letnia Marzena N., a następnego dnia — 16-letni Józef O. 9 lipca wracający z pola 27-letni mężczyzna chciał się odświeżyć w zbiorniku wodnym w Rybnie. Do domu już nie wrócił.

Wczasowicze z Warszawy, odpoczywający we wsi Kleszczewie, niezbyt uważnie obserwowali bawiącego się sześciolatka. Chłopiec zsunął się z betonowej skarpy do wody. Zwłoki zostały odnalezione aż 20 kilometrów dalej.

Zaledwie czteroletni Szczepan Z. utopił się w stawie w Żebrach.

Nie tyle z powodu wody co ryb — zginął pewien mężczyzna kluczący przy użyciu prądu. Porażenie okazało się śmiertelne.

20-letni pacjent poradni psychiatrycznej wyszedł pewnego lipcowego wieczoru na balkon ze swym siedmioletnim kuzynem Patrykiem, który przyjechał z Siedleckiego na wakacje do ciotki do Łomży. Nieoczekiwanie dla rodziny wyrzucił on siedmiolatka z balkonu na trawnik. Upadek z czwartego piętra nie okazał się, na szczęście, śmiertelny. Przy pierwszych oględzinach dało się zauważyć jedynie potłuczenie. Mimo to Patryk został przewieziony do szpitala im. Śniadeckiego w Białymstoku na dokładniejszą obserwację.

W ciągu 25 dni lipcowych straż pożarna odnotowała w województwie 24 pożary (o 6 mniej niż w lipcu ub. roku). Spłonęło 5 budynków mieszkalnych i 15 gospodarczych, a straty wynoszą 20 mln 40 tys. zł.

Wylądowania atmosferyczne spowodowały cztery pożary, m.in. w Szablaku (gm. Nowogród) i w Kuczynach (gm. Stawiski).

Do samozapalenia się siana doszło w Pisanekach (gm. Trzciannę) i Konopkach Młodych (gm. Śniadowo), od którego spaliła się stodoła i kombajn ziemniaczany.

W innych przypadkach z reguły przyczyną pożaru była nieodpowiednia prewencja. Np. w Podgórzu ogień strawił 10 i 13 lipca trzy obiekty gospodarcze.

Na szczęście w lipcu nie płonęły na ziemi łomżyńskiej lasy, co jednak nie zwalnia nikogo od dużej ostrożności w obchodzeniu się z ogniem podczas grzybobrania, spacerów czy biwakowania.

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży orzeczeniem nr A-645/88 z dnia 27 maja 1988 r. ukarało Longina Siłaka, s. Jana, ur. 1.04.1945 r., zam. Łomża, karą grzywny w wysokości 50 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 50 dni aresztu zastępczego, zakazem prowadzenia wszelkich pojazdów na okres 3 lat, zaliczając w poczet tej kary okres zatrzymania prawa jazdy począwszy od dnia 15.03.1988 r. oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranego za to, że dnia 15 marca 1988 r. około godziny 15.50 w Łomży na ul. Wojska Polskiego będąc w stanie nietrzeźwości alkoholowej (2,11 promila) kierował samochodem marki „Polonez”, nie zatrzymał się do kontroli drogowej na wyraźnie podany sygnał tarcz do kontrolowania pojazdów oraz za to, że dnia 6 kwietnia 1988 r. około godziny 12.45 w Łomży na ul. Wojska Polskiego będąc w stanie po użyciu alkoholu kierował samochodem marki „Polonez”, nie zatrzymał się do kontroli drogowej na wyraźnie podany sygnał, kierował samochodem nie posiadając do tego uprawnień. K-248

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży orzeczeniem nr A-395/88 z dnia 19 maja 1988 r. ukarało Grzegorza Boguckiego, s. Stanisława, ur. 24.03.1964 r., zam. Zambrów, karą grzywny w wysokości 40 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 80 dni aresztu zastępczego, zakazem prowadzenia wszelkich pojazdów na okres 2 lat i 6 miesięcy, zaliczając w poczet tej kary okres zatrzymania prawa jazdy począwszy od dnia 25.01.1988 r. oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranego za to, że w dniu 25 stycznia 1988 r. o godzinie 1.00 w Łomży na ul. Świerczewskiego kierował pojazdem marki „Fiat 126p”, będąc w stanie nietrzeźwym (2,39 promila). K-249

Kolegium Rejonowe ds. Wykroczeń przy Prezydencie Miasta Łomży orzeczeniem nr A-530/88 z dnia 25 maja 1988 r. ukarało Wojciecha Karpieskiego, s. Mariana, ur. 27.08.1964 r., zam. Łomża, karą grzywny w wysokości 35 000 zł z zamianą w razie nieściągalności na 70 dni aresztu zastępczego oraz karą dodatkową w postaci podania treści orzeczenia do publicznej wiadomości w tygodniku „Kontakty” na koszt ukaranego za to, że w dniu 5 marca 1988 r. około godziny 20.30 w Łomży przy ul. Armii Czerwonej 55b, a następnie przy Szkole Podstawowej nr 3, będąc pod działaniem alkoholu, wspólnie z M.B., zaczęli przechodzić, wywołując z nimi awantury, czym zakłócił porządek w miejscu publicznym. K-250

kontakty

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedźwiecka, Jan Oniszczuk, Stefan Ostrowski, Gabriela Szczesna, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter: Gabor Lörinczy. Oprac. graf. techn.: Stanisław Tomaszek. Redaktor techniczny i korekta: Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Krzysztof Dworniczak, Bronisław Gołębowski, Wiesław Kosiński, Piotr Kuncewicz, Krzysztof Kuraniuk, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża. Telefony: 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 34-95 (administracja). Telex: 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Białostockie Wydawnictwo Prasowe — dyr mgr Romuald Łazarowicz, 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne — dyr mgr Witalis Sadowski, kierownik Oddziału Gazet i Ciepłot — Stanisław Fajst, Zam. 1411/88 r. Nakład 14.200 egz. PL ISSN 0208 6840. Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty”, 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalnie — 455 zł, półrocznie — 910 zł, rocznie — 1820 zł. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów E-3.

CZWARTEK - 4.08.88

Program 1

8.55. „W poszukiwaniu kapitana Granta” — serial bulg.-radz.
17.30. „Co, gdzie, kiedy” — teletur-niej.
18.25. „Patrol” — program wojsko-
wy.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Teraz” — tygodnik gospodar-
czy.
19.30. Dziennik.
20.00. „Sprawy majora Zemana” (5)
— serial CSRS.
21.35. Pegaz.
22.20. Studio Sport.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. „Zatrzymane w kadrze” —
program Ryszarda Wójcika.
19.00. „Piknik Country — Mrągowo
88” — reportaż.
19.30. „Życie muzyczne”: „Matura
w gdyńskiej szkole baletowej”.
20.00. Ciężarowcy.
21.30. Zaproszenie do teatru „Syre-
na”.
21.00. Ekspres reporterów.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Kino Studyjne „Dwójki”: „Od-
rażający, brudni, zli” — wł. film fab.

PIĄTEK - 5.08.88

Program 1

9.00. „Teleferie z kukulką”.
9.30. „Syn strzelca” (4) — serial
NRD.
16.55. Za kierownicą.
17.30. W starym kinie: „Sportowiec
mimo woli” — pol. film archiwal.
18.35. Studio Sport.
19.00. Monitor rządowy.
19.30. Dziennik.
20.00. „W środku lata” — film TVP.
21.25. Żniwa '88.
21.40. Czas.
22.15. Konwój.
23.05. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. „Polak w przyrodzie” — rep.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Dookoła świata.
20.00. Magazyn „Piątek”.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Filmy z Jeanne Moreau: „Ko-
chankowie”.
23.20. Wieczorne wiadomości.
23.25. Telewizja nocą.

SOBOTA - 6.08.88

Program 1

8.55. „Król drożdżobrody” — film
CSRS-RFN.
10.30. DT — Wiadomości.
10.40. Stare, nowe, najnowsze.
11.35. Bydgoskie impresje muzyczne.
12.20. „Azymut” — program wojsko-
wy.
12.50. Bariery.
13.20. Koncert życzeń.
13.50. Wędrowki dalekie i bliskie.
14.45. Antologia dramatu powszech-
nego: A. Kopkow — „Słoń”.
16.15. Losowanie Dużego Lotka.
16.25. Konwój.
17.30. „Pod jednym dachem” (6) —
serial CSRS.
18.10. „Sok-2” — film dok.
18.30. Butik.
19.00. Dobranoc.
19.10. Z kamerą wśród zwierząt.
19.30. Dziennik.
20.00. „Był sobie lajdak” — film
fab. USA.
22.10. Tydzień w polityce.
22.15. Przegląd sportowy.
22.45. „Piknik Country — Mrągowo
88”.
23.35. DT — Komentarze.
23.45. Anegdoty teatralne Igora
Smiałowskiego.
23.50. Kino Nocne: „Inspektor Bel-
lami” (6).

Program 2

15.00. Magazyn „Auto-moto”.
15.30. „Akcja O.P.E.N.” — serial
franc.
16.30. Legendy filmu: Alain Delon.
17.20. Studio Sport.
17.30. Spektrum.
18.30. Wielka gra.
19.30. Przeboje opery i baletu.
20.00. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
22.05. „Romans Teresy Hennert” —
film TVP.
23.25. Wieczorne wiadomości.

NIEDZIELA - 7.08.88

Program 1

9.00. „Ballada o walecznym ryce-
rzu Ivanhoe” — film radz.
10.30. DT — Wiadomości.
10.35. „W królestwie owadów” (2) —
franc. serial dok.
11.05. Bydgoskie impresje muzyczne.
11.50. Siedem anten.
12.20. Kraj za miastem.
12.50. Koncert życzeń.
13.40. Portrety: „Lekcja poloneza”
— film dok. o Jerzym Janickim
14.30. Studio Sport.
14.45. Gdzie są taśmy z tamtych lat.
15.15. „W kamiennym kręgu” (10 i
11).



17.30. Studio Sport.
18.10. Marek Sierocki zaprasza.
18.30. Antena.
19.00. Wieczorynka
19.30. Dziennik.
20.00. „Komediantka” (1) — serial
TVP.
20.55. Sportowa niedziela.
21.25. Konwój.
22.15. 7 dni na świecie.
22.30. DT — Wiadomości.
22.35. „W kamiennym kręgu” — po-
wrtózenie.

Program 2

11.25. Wojskowy program dokument.
11.55. Jutro poniedziałek.
12.20. „Sztuka ogrodowa w Polsce”
— pol. serial dok.
12.50. Ptaki: „Dzika Ameryka” —
film przyrod. USA.
13.20. Sto pytań do...
13.50. Blżej świata.
15.25. Grand Prix Węgier — Formu-
ła 1 (I).
15.45. „Pieśni, płyn hen w świata
strony...” — rep.
15.55. „Sztuka ogrodowa w Polsce”
— pol. serial dok.
16.25. Grand Prix Węgier (II).
16.35. „Kino-oko”.
17.20. Grand Prix Węgier (III).
17.40. Opowieści Michaiła Zoszczen-
ki.
18.00. Pięćdziesiątka pana Janka.
19.00. Tadeusz Kantor — „Moja hi-
storia sztuki”.
19.30. Gra Józef Stempel.
20.00. Studio Sport.
21.00. Sensacje XX wieku.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Dallas” (2) — serial USA.
22.40. Piknik Country — Mrągowo 88.
23.00. Wieczorne wiadomości.

PONIEDZIAŁEK - 9.08.88

Program 1

17.30. „Tajemnice Enigmy” (6) —
serial pol.
18.05. „Mey-Wodd” — hol. duet wo-
kalny.

18.35. Prosty rachunek.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik.
20.00. Spektakl na bis: Ivo Brešan
— „Przedstawienie Hamleta we wsi
Głucha Dolna”.
21.55. Żniwa '88.
22.10. „Koncert w świętej Lipce” —
film dok.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. Antena „Dwójki” na następny
tydzień.
18.50. „On...” — magazyn dla panów.
19.00. „Gabinet figur” — rep.
19.30. VI Międzynarodowy Studen-
cki Festiwal Folklorystyczny.
20.00. Wspominki mgr. Łazuki.
21.00. Stan krytyczny.
21.30. Panorama dnia.
21.55. Biografie: „Romanza finale”
(1) — serial hiszp.
22.50. Piosenka aktorska: Jacek Ró-
żański.
23.25. Wieczorne wiadomości.

WTOREK - 9.08.88

Program 1

9.00. „Krag” — magazyn harcerzy.
9.30. „Pan samochodzik i templa-
riusze” (2) — serial pol.
16.55. Informator wydawniczy.
17.30. Popołudnie z X Muzą.
18.20. Flesz.
18.50. Dobranoc.
19.00. Program publicyst.
19.30. Dziennik.
20.00. „Złote obrączki” (2) — serial
hiszp.
21.00. Konferencja prasowa rzeczni-
ka rządu.
21.25. „Chronicie — nie chronić” —
tel. film dok.
22.10. Spory.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. Ojczyzna — polszczyzna.
18.45. Za chwilę dalszy ciąg progra-
mu.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Studio Sport.
20.00. Koncert „Symfonia Varsovia”.
21.00. „Leningrad — narkomania” —
rep.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Piękne dzielnice” (1) — se-
rial franc.
23.15. Wieczorne wiadomości.

ŚRODA - 10.08.88

Program 1

9.00. Teleferie: „Tato, już lato”.
9.30. „Szaguma albo zaginione świa-
ty” — serial franc.
17.05. Losowanie Ekspres i Super
Lotka.
17.30. „Ginąca przyroda” (7) — węg.
serial dok.
18.05. W wędkarskim klubie.
18.30. Laboratorium.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sejmowe spotkania.
19.30. Dziennik.
20.00. „Opieka” — węg. film fab.
21.40. Żniwa '88.
21.55. Klub międzynarodowy.
22.25. Ociosywanie mgły — Kazi-
mierz Koźniewski.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. Studio Sport.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Uwaga, dokument: „Papieros
od prezydenta”.
20.15. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Snopy z piasku” — film fab.
CSRS.
22.30. Program rozrywkowy.
22.40. Koncert jubileuszowy na 40-
lecie wytwórni „Atlantic Records”.
23.00. Wieczorne wiadomości.

zobaczcie koniecznie

► W czwartek, 4 sierpnia — ma-
kabryczną groteskę Ettore Scoli „Od-
rażający, brudni, zli” Akcja filmu
rozgrywa się w slumsach Rzymu,
gdzie ludzie gnieźdzą się w budach
skleconych z blachy i kartonu. Bo-
haterowie filmu — to rodzina rzym-
skich nędzarzy z demonicznym pat-
riarchą na czele. (Pr. II, godz. 21.45).

► W sobotę, 6 sierpnia — amery-
kański western „Był sobie lajdak”.
Bohaterem filmu jest bandyta, któ-
ry nie waha się poświęcić życia ko-
legów — gangsterów, aby cenny łup
zostawić tylko dla siebie. Skazany
na więzienie, organizuje zbiorową
ucieczkę i ze zrabowanymi pieniąd-
zami zamierza przepłynąć do Meks-
yku. Jego tropem rusza szeryf Lo-
peman. W głównych rolach: Kirk
Douglas i Henry Fonda. (Pr. I, godz.
20.00).

► W niedzielę, 7 sierpnia —
pierwszy odcinek polskiego serialu
pt. „Komediantka”, będącego ekrani-
zacją znanej powieści Władysława
Reymonta. W rolach głównych Mał-
gorzata Pieczyńska, Beata Tyszkie-
wicz, Małgorzata Trybała, Piotr Ma-
chalica, Bronisław Pawlik. (Pr. I,
godz. 20.00)



„Meteor” CIECHANOWIEC: 4—5.08
— „Z wizytą u van Gogha”, NRD,
od 1. 15; 6—7.08 — „Sprzedawca ka-
peluszy”, franc., od 1. 18; 9—10.08
— „Ja cię trzymam, ty mnie trzy-
masz za bródkę”, franc., od 1. 12.

„Roma” GRABOWO: 5—7.08 —
„Pociąg do Hollywood”, pol., od 1.
15; 9—10.08 — „Nieśmiertelny”, ang.,
od 1. 15.

„Relax” GRAJEWO: 4—7.08 —
„Zdrada i zemsta”, chin., od 1. 15;
8—9 — „Faul”, CSRS, od 1. 15; 10.08
— „Kaczor Howard”, od 1. 15.

„Oaza” JEDWABNE: 6—7.08 —
„Tan Sitong”, chin., od 1. 15; 10.08
— „Dawno temu w Ameryce”, USA,
od 1. 18.

„Wrzos” KOLNO: 5—8.08 —
„Gwiezdny przybysz”, USA, od 1. 15;
10—11.08 — „Halo, taxi”, jug. od
1. 18.

„Millenium” ŁOMŻA: 4—7.08 —
„Pantarej”, pol., od 1. 15; 8—11.08
— „Nieoczekiwana zamiana miejsc”,
USA, od 1. 15.

„Saturn” STAWISKI: 4—5.08 —
„Na ringu”, rum., od 1. 15; 6—7.08
— „Odliczanie”, węg., od 1. 15;
9—10.08 — „Fetysz”, pol., od 1. 15.

„Wars” WYSOKIE MAZOWIEC-
KIE: 4—7.08 — „Pożegnanie z Afry-
ką”, USA, od 1. 15; 9—10.08 — „Orły
Temidy”, USA, od 1. 15.

„Kosmos” ZAMBROW: 4—5.08 —
„Most na rzece Kwai”, ang., od 1.
15; 6—10.08 — „Obcy — decydujące
starcie”, USA, od 1. 15.

Wyrazy głębokiego współczu- cia

kol. kol. MAŁGORZACIE
i MARKOWI LUBECKIM

z powodu śmierci
OJCA i TEŚCIA

składają:

dyrekcja, POP, Związki Za-
wodowe oraz współpracow-
nicy PSiTW Spółka z o.o.
w Łomży.

K-257

WSZYSTKIM, którzy udzielili
pomocy oraz uczestniczyli w
ostatniej drodze nieodżało-
wanej pamięci

JERZEGO
BRZOSTOWSKIEGO,
serdeczne podziękowania
składa

Rodzina.

K-2353

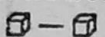


Nie udało się piłkarzom ŁKS-u trzecio-
ligowy debiut. W ubiegłą niedzielę u-
legli bytemu drugoligowcowi — Gwardii
Szczecino 1:2 (1:0). Bardzo młoda druży-
na łomżyńska nie dała rady doświad-
czonym zawodnikom Gwardii.
Łomżyński mecz rozpoczął bardzo
nerwowo. Już na początku obrona ŁKS-u
popłynęła kilka błędów. W 8 min. Skow-
roński zażegnał groźną sytuację, wybi-
jając piłkę na róg. Dopiero około dzie-
siątej minuty, po niezłej akcji, Szostak
oddal pierwszy strzał na bramkę gości.
W miarę upływu czasu gra wyrównywa-
ła się. W 18 min. w pobliżu pola bram-
kowego gość sfaułowany został Szostak.
Jednak gospodarze nie wykorzystali
szansy, jaką był rzut wolny, podobnie

było minutę później. Stopniowo zaryso-
wywała się przewaga Gwardii, ŁKS zaś
ograniczał się do sporadycznych wypo-
dów. W 29 minucie groźną sytuację pod
bramką ŁKS-u stwarzają goście, ale od-
powiedzią jest szybka kontra gospodarzy
i Piątek strzela w stupek, dobija Stań-
czyk i... jest nadal 0:0. Gra znów się wy-
równuje. W 40 minucie Dębowski w do-
godnej sytuacji strzelił obok bramki. W
trzy minuty później dobrą interwencją
popisał się Wilczewski. Tuż przed przerw-
ą po strzale Szostaka jest 1:0 dla
ŁKS-u.

Druga część meczu rozpoczęła się przy
przewadze łomżyńskich. W 59 minucie
po najładniejszej chyba akcji meczu
przed szansą poprawienia wyniku stanął
Piątek, wyprzedził dwóch obrońców go-
ści i mając przed sobą tylko bramkarza
z około 14 metrów strzelił niecelnie. Nie-
wykorzystane sytuacje mszczą się. Tak
było i tym razem. W 65 minucie Osoba
z Gwardii wyrównał na 1:1, a w dwie
minuty później Osiecki ustalił wynik
mecz na 2:1 dla gości. Ostatnie dwa-
dzieścia pięć minut pojedynku to wy-
raźna przewaga drużyny gości, którzy
choć wygrali, to nie zachwycili. ŁKS
zawiodł. Na te Gwardii uświadocniły się
braki kondycyjne. Gwardziści byli szyb-

si, spokojniejsi. Poczynania ŁKS-u ce-
chowała duża nerwowość.



W Zambrowie odbyło się ogłoszenie
wyników ligi miejskiej zakładów pracy
w piłce nożnej. Turniej rozpoczął się w
kwietniu, a zakończył w czerwcu. Roz-
egrano 36 meczów systemem każdy z
każdym. Królem strzelców turnieju zo-
stał Ireneusz Mioduszeński z ZZPB (15
bramek), drugi na liście Andrzej Jasiń-
ski z „Mery-Blonie” strzelił 14 goli, a
trzeci, Mirosław Głębocki z Olimpii —
13. A oto końcowa tabela:

1. Mera-Blonie	19	32: 8
2. Olimpia	18	40:13
3. OSM	14	26:17
4. ZZPB	13	38:17
5. ZPOW	7	37:24
6. PSS „Spolek”	5	16:21
7. WF-MEM	3	22:32
8. ZUS	—1	15:49
9. RDP	—6	14:54



Okręgowy Związek Piłki Nożnej WFS
w Łomży (tel. 52-35) informuje, że jesz-
cze do 8 sierpnia przyjmowane są zgło-
szenie udziału w rozgrywkach o puchar
Polski. W rozgrywkach mogą uczestni-
czyć również drużyny niezastrzeżone (za-
kładowe itp.).

15

KONTAKTY
1988-08-07

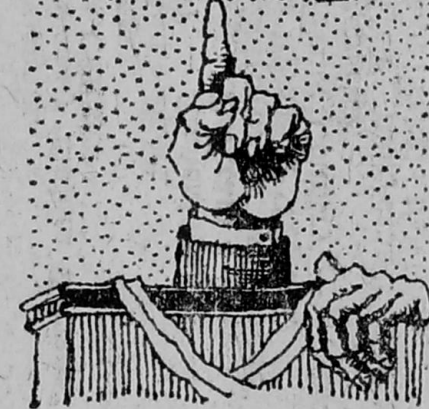
z tygodnia na tydzień



organ samorządowy
pod redakcją
Wiesława Gajdickiego

Konszachty

W TYM TEMACIE



z urzędowej tablicy ogłoszeń

„Dotyczy sprawy posiadania przez pracowników bonów o-biadowych.
Niniejszym zawiadamia się personalnie zatrudnionych w naszym Zakładzie, że boni (talony) obiadowe do-płaćane są przez Zakład do ka-żdego pracownika imiennie i nie wolno ich odstępować bez-imiennie osobom trzecim. W ewentualnych przypadkach rodzinnych uwzględnić można żonę lub męża w charakterze wymiennika talonów, jednak-że fakt ten ciągnięty na dłuż-szą metę musi zostać ukazany w specjalnym podaniu z po-daniem przyczyn zaistnienia takowego postępowania.

Z up. Rady Prac.
(podpis czytelny)

prawdy spektakularne

Zaczął mówić to, co myś-
li, ale jeszcze boi się tego
słuchać.
ANDRZEJ MLECZKO

WAŻNY

Powiem ci, Ważny, wcale nie na ucho:
tak wprost, jak człowiek mówi do człowieka.
Słyszałem, że twój fotel wcale cię nie słucha,
że czasem spod siedzenia jak gdyby ucieka?

A ty go przygarniasz — jak kochankę miłą...
Gdyby ci go odjęli, byłbyś, Ważny, zero!
Więc wciskasz w ten fotel całą swoją miłość,
choć to nie uczucie, a strach w tobie zbiera.

Strach, że spod siedzenia ktoś wyciągnie fotel,
ukochany fotel i znikniesz na amen.
Odważ, Ważny! Myśl, żeś... Arystotel,
usiądź mocno w krześle i — napisz testament.

„RAPTULARZ ZAKOCHANYCH” JANA SZTAUDYNGERA

SIERPIEŃ

4.
KURACJA
Gdy mi opadają skrzydła,
Stawiam sobie bańki z mydła.
5.
NA STARKE
W objęciach studenta
Upłynnia remanenta.
6.
GLUPIE SERCE
Jakiś zapach z młodości, jakaś
stara piosenka
i serce, głupie serce, zaraz z
żału pęka.
7.
NIE MÓW DRUGIEMU
Nie mów drugiemu, z którą
tobie miło,
Aby i jemę o niej się nie
śniło.
8.
...
„Kocham” — to czasownik
rzadki,
Deklinowany przez przypadki.
9.
ALI BABA
A, jak ja kocham te baby!
Chybaby
Mnie leczyć trzeba by.
10.
NA ZONY
Im bardziej moją się znudzę,
Tym mniej szanuję cudze.

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERZYSKIEM

Siedzę i piszę za oknem
pada deszcz.
Obok chaty na rżysku
włóczy się trójka młodych
bocianów. Boże, jak ci
starzy bociani wychowają
trójkę tych bocianików?
Zab obecnie tak mało.
Siedzę i piszę i robię
Bogu wymówki:
po co dałeś mi takie oczy,
że widzę każdy smutek
po co dałeś mi takie serce,
gotowe przebaczyć
po co mi dałeś taką głowę,
którą kręcę z politowaniem i pytam
— Dlaczego ludzie lubią Piekło?

Nota biograficzna: GENOWEFA ZAGROBA, Zagroby—Za-
krzewo, 18-300 Zambrów.

Z CUDZYCH ŁAMÓW



Rys. ZBIGNIEWA JUJKI („Szpilki” 1980 r.)

z życia wyższych sfer

Na dworach królów fran-
cuskich istniał małeńki mebe-
lek, który odgrywał jednak
ogromną rolę prestiżową. Tym
mebelkiem był taborecik, a
właściwie stołeczek bez porę-
czy i oparcia. Gdy król lub
królowa zasiadali przed pod-
władnymi, ci musieli stać, je-
dyne niektórym wolno było
siadać właśnie na takich ta-
boretach. Opracowane z bie-
giem czasu „Prawo taboretu”
było nie mniej dokładne jak
kodeks karny. Tak więc w
obecności ojca lub matki na
stołeczkach wolno było sie-
dzieć dzieciom królewskim.
Wnukowie króla siadali na
stołeczkach w obecności dzie-
ci króla. W towarzystwie
wnuków monarchy na me-
blach tych mogły usiąść księż-
niczki krwi itd. itp. etc.

Dzieci na wakacjach, więc
dorosli mogliby porozmawiać
sobie o oświacie, gdyby im się
oczywiście chciało. Dotychcza-
sowa publiczna dyskusja przy-
pomina mecz piłki nożnej,
rozgrywany przez dwie druży-
ny na dwóch różnych bois-
kach. Zawodnicy strzelają go-
le do pustych bramek swoich
przeciwników, a sędzia nie
gwizdże, bo go po prostu ni-
gdzie nie widać. Po jednej
stronie stoja wszyscy niemal
publicyści i dziennikarze, a
także rodzice uczniów wy-
czerpanych „ryciem”, umęczo-

wieści ponadgminne

nych do granic wytrzymałoś-
ci, przerażonych stawianą im
coraz wyżej poprzeczką, po
drugiej natomiast gono tak
zwanymi specjalistami. Prze-
ciwnicy obecnego systemu pe-
dagogicznego wskazują na fa-
talne skutki nauki opartej o
mechaniczne wkuwanie i pa-
mięciowe przyswajanie ogrom-
nej ilości materiału, specjali-
ści mówią o konieczności utrzy-
mania wysokiego poziomu na-
uczania. Przeciwnicy stwier-
dzają z przerażeniem, że
współczesna szkoła odbiera
dzieciom radość życia, że sta-
ła się miejscem, do którego
chodzi się z przykrej koniecz-
ności, nie z wewnętrznej po-
trzeby, specjaliści, że trzeba
jeszcze dolożyć po parę go-
dzin z różnych przedmiotów.
Przeciwnicy, że szkoła uczy
teraz głównie kręckiego
cwaniactwa, że prace domo-
we, od rysunków po zadania
z matematyki, wykonują za
dzieci rodzice, bo średnio zdol-
ny uczeń nie byłby w stanie
sam tego zrobić w ciągu ca-
łej doby nawet, specjaliści, że
nie oddadzą ani guzika, bo
dwudziesty pierwszy wiek już
blisko. I toczy się taka dysku-
sja ślepego z głuchym, a mło-
dzież z roku na rok staje się
coraz bardziej koślawą i gar-
bata, sfrustrowana i wy-
nowana. W całym tym zame-
cie zabrakło bowiem miejsca
na kulturę fizyczną rozwija-
jących się organizmów, o
której nikt już nawet nie
wspomina, i na higienę psy-
chiczną także, bo tej nie da
się opisać w książce i kazać
dzieciom zdawać z niej egz-
amin.

KOMENTATOR

Z NOWEJ KSIĘGI PRZYSŁÓW POLSKICH

IM DALEJ W LAS TYM MNIEJ DRZEW

PODREDAKCYJNA EKSTRAPOCZTA

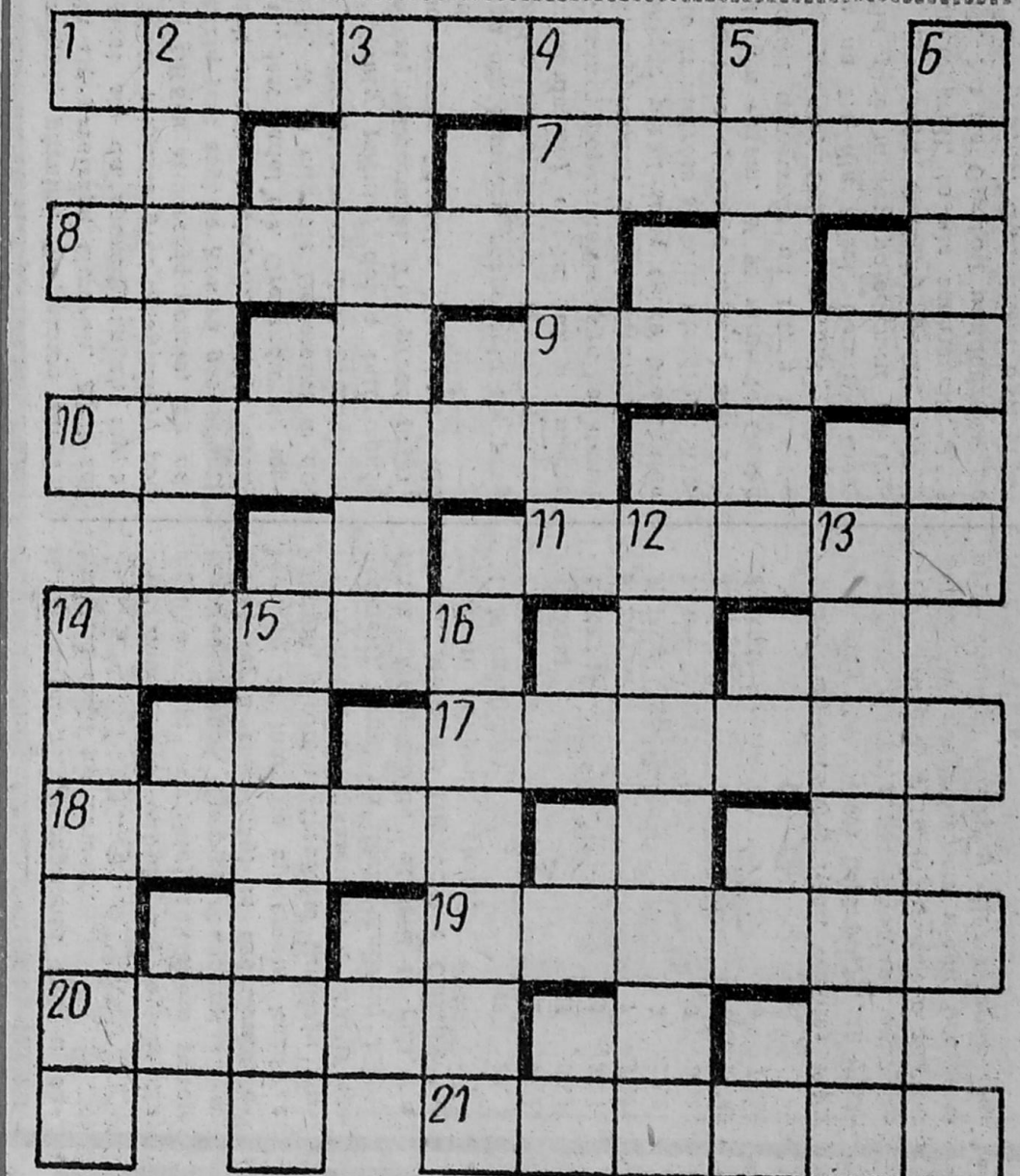
Motto:
Dobrze czy źle,
byle dużo.

Szanowna Podredakcjo!
Jestem średnio stałym czy-
telnikiem pisma i muszę po-
wiedzieć ze smutkiem, że es-
tatnio zwłaszcza jakoś nie
bardzo mi się ono podoba.
Odnoszę wrażenie, że nie da-
jecie w „Futrynie” tych wier-
szy, co należy. Ludzie z pew-
nością piszą bardzo dużo kry-
tycznych tematów, a wy obra-
cacie się w kręgu takich bar-
dziej letnich w treści. A gdzie
te ostre i zjadliwe o naszej
smutnej rzeczywistości? Gdzie

wściekle na bezradność nas
wszystkich wobec pleniącego
się cwaniactwa, ieróbstwa i
obibokostwa? Nie mogę uwie-
rzyć, że Czytelnicy o tych
sprawach nie piszą. Sam wy-
stałem dwa poematy silnie
krytyczne i jak dotąd nie zo-
stały one wydrukowane mimo
swoich bezwzględnych walo-
rów poetyckich i poznaw-
czych.

Oczekuję na zmianę frontu
Waszych działań.

JAN Z.
(adres do wiadomości
podredakcji)



POZIOMO: 1) éwiek, 7) pie-
cza, 8) patyna, 9) rodzaj dese-
ru, 10) rodzaj przyrządu mier-
niczego, 11) pokarm treściwy
dla zwierząt pociągowych, 14)
rezerwa, 17) pisarz węgierski
(1837- 1902), 18) na kraterze
u Wańkowicza, 19) w dawnej
Polsce cło rzeczne i podatek
wodny, 20) kopia, włócznia,
21) miasto we Francji, duży
port morski na Loarę.
PIONOWO: 2) plantacja wi-
norośli, 3) w oku, 4) część
trawy, 5) imię męskie, 6) mia-
sto w woj. białostockim, 12)
coś ze szlachetnych wędlin,
13) pin- sch. część grani w
Tatrach Wysokich, 14) nu-
dzi- rz. mantyka, 15) ród,
szczeo. 16) wczesniowy sol ni-
zant. (HCL)

Wśród Czytelników, którzy
w terminie 10-dniowym na-
desła prawidłowe rozwiązanie,
rozlosujemy nagrody książko-
we.

BZDURY TOTALNE

Jest taka, bo Leonardo czuł się homoseksua-
listą.
Zygmunt Freud o obrazie Leonarda da Vinci „Mona Lisa”
(1931 r.)